

● CHCIAŁ BYĆ KOCHANY ● CZY KPP CHCIAŁA NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI? ● WIELKA AKTORKA Z PUŁAW ● TRZECH Z SZARYCH SZEREGÓW ● LWÓW - NASZA OJCZYZNA ● POLEMIKI ● TYGODNIOWY PROGRAM TV

TYGODNIK
WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 30 III - 5 IV 1989 R.

NR 11

CENA 50 ZŁ

NA PODOLE...

Zygmunt Nasalski

POPULARNA przed wojną przyspiewka „żurawiejka”, którą panowie kawalerzyści bez pardonu ozdabiali wzajemnie każdy pułk jeżdżący na podkowach, głosiła, że „Po majątki na Podole pułk dwunasty rusza w pole”. Pułk wprawdzie okrył się sławą, zatykając polską flagę na Monte Cassino, ale na Podole Polaków wciąż coś ciągnie. Nie po majątki rzecz jasna, bo ta kwestia zdezaktualizowała się trochę wcześniej od daty dekretu o reformie rolnej. Kuśilo mnie Podole sarmackich dziejopisów, romantycznych wieszczów, opowiadań Wołoszynowskiego, lecz także lub jeszcze bardziej, Podole Sienkiewicza i jego późniejszych apologetów, władających niekoniecznie piórem. Wszystkiego jednak osiągnąć nie można od razu. Na początek trafiła się wycieczkowa okazja do Trembowli, Kamieńca Podolskiego i Chocimia. Decyduję się.

Linie podziału Polaków w autokarach zmierzających do wschodnich przebiegów granicznych przebiegają nieco inaczej niż te, rysujące się w pracy, kolejce sklepowej, telewizji i gazetach. Pełny, nieskrępowany pluralizm daje się słyszeć tylko w zakresie repertuaru wokalnego. W zróżnicowaniu filozofii wyjazdu znaleźć można załedwie dychotomię, z niewielkim marginesem pokrywającym obydwie pola przedziału. A więc jest filozofia: zobaczyć i filozofia: nie stracić. Każdej z nich przyporządkowana jest objętość i wartość odprawianego na granicy bagażu.

W moim autokarze sytuacja wydaje się bardzo dobra — rzecz można: niezwyczajna. Aż kilkanaście osób studiuje przewodniki, piski, kserokopie przedwojennych, zetłanych już map. Trzeba jednak dodać, że tych kilkunastu dobrało się znacznie wcześniej przed wycieczką i wysoki procent chętnych by stracić, nie jest bynajmniej przypadek. Są przecież „wycieczki”, które nawet nie zatrzymują się w pięciogwiazdkowych miejscowościach dawnych kresów, bo teren rynkowo wyeksplorowany, więc i po co. Stare wygi, pojawiające się tu z dużą częstotliwością, od kiedy pieriestrojka uchyliła granice, prześcigają się w uzupełnianiu i racjonalizacji programu wyjazdów. Co tam, panie, snuć się bez sensu po tych ulicach, pomnikach i cmentarzach. Trzeba przeć jak najdalej na wschód, tam gdzie naszych kupą jeszcze nie było w drugiej połowie tego stulecia, a sklepy i bazy nie doświadczyły polskiego szturmu. Mają powód do satysfakcji zwolennicy teorii o powtarzalności historii. Jednym słowem — Bar znów wzięty! Tym razem przed naszymi. Dla sprawiedliwości dodać trzeba koniecznie, że tu

i ówdzie widać u nas ślady odwetu, szczególnie w sklepach z herbata i ciastkami.

Ale czas dopuścić do głosu wycieczkową mniejszość, nie bacząc, że kolizja celów wznosi czasem groźne barykady. Jedziemy więc najpierw w kierunku Lwowa, omijając miasto na jego obrzeżach. Potem skręt na południowy wschód i pierwszy cel podolskiej podróży — Trembowla. Przed wojną — małe kresowe miasteczko, malowniczo rozłożone na stokach doliny rzeki Gniezny, która nieco dalej uchodzi do Seretu. Kilka nieczynnych kościołów, w centrum duża cerkiew ze świeżymi złotymi datami 988 — 1988, świadczącymi o powiewach nowego.

Splendoru dodawał tu ongiś 9 pułk ułanów małopolskich (znów ta kawaleria!), którzy w „żurawiejce” ciągot obszarniczych nie mieli, lecz z biało-amarantowymi proporczykami na lancach asystowali każdej ważnej rocznicy i uroczystości. Malowani chłopcy z Trembowli, którzy przed wymarszem na wojnę oddali się pod najwyższą protekcję Jazłowieckiej Pani, dowiedli w pamiętnym Wrześniu, że Polsce służyli nie tylko na defiladach, jak to do niedawna pisano. Po przedarciu się przez Puszcze Kampinoską do Warszawy bohaterstwo bronili stolicy, choć już pieszko, aż do jej kapitulacji. Żyje do dziś w Wielkiej Brytanii ich dowódca, generał Klemens Rudnicki, którego wspomnienia „Na polskim szlaku” (doskonały środek do czyszczenia białych plam), doczekać się powinny łaski także i polskiego wydawcy.

Ma także Trembowla znacznie wcześniejsze powody do swojej sławy i ohwały, znanej w całej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Tędy przebiegały wojenne szlaki tatarskiej ordy, tureckiego półksiężyca i zbuntowanego kozactwa. Wzniesiono więc już w XIV wieku staraniem króla Kazimierza okazałą fortecję na przylegającym do miasta skalistym wzgórzu. Zamek był świadkiem niejednego oblężenia i bohaterstwa wycieczek obrońców, lecz w pamięci potomnych zapisał się najbardziej rok 1675. Pobity pod Lwowem przez króla Jana III Sobieskiego, sultan turecki Ibrahim Szyszman, uchodząc ku Wołoszczyźnie, postanowił wziąć twierdzę w Trembowli, która po kapitulacji Kamieńca przejęła rolę wysuniętego bastionu przeciwko imperium osmańskiemu. Twierdzy broniło załedwie 80 dragonów i 200 mieszczan pod wodzą kasztelana Jana Samuela Chrzanowskiego. Po tygodniowym oblężeniu nadwreżyły się mury obronne, zapasy i duch obrońców. Odezwały się głosy za poddaniem twierdzy naza-



Gwiazda z Puław — Leontyna Halpertowa (miniatura Stanisława Marszałkiewicza) — str. 6.

Repr. Waldemar Stępień

jutrz. W ostatniej chwili duch bojo- wy, świętej już wtedy pamięci, księdza Kordeckiego wstąpił w Zofię Chrzanowską, żonę komendanta, która pojawiła się na murach wśród piekielnej strzelby i wycia pohanów, niosąc otuchę zawstydzonym rycerzom. Dzięki niej obrońcy wytrwali aż do nadejścia królewskiej odsieczy, oceniając głowę i twierdzę.

CZASU jest niewiele, więc prawie biegiem zdobywamy stromy stok i koronę murów twierdzy. Zbudowana została z pięknego podolskiego kamienia, tak jak wszystkie dzieła obronne w dorzeczu średniego biegu Dniestru. Musiała być kiedyś imponująca i budzić respekt oblegających. Dzisiaj jest smutną ruiną. Przez ostatnie dwa stulecia służyła jako

źródło materiału budowlanego. Najlepiej zachowała się wspaniała, mimo okaleczeń, wieża artyleryjska, majstersztyk architektury obronnej XVII wieku. Jest to zapewne efekt działalności starosty Aleksandra Bałabana, który około 1630 roku rozbudowywał twierdzę. W latach międzywojennych podjęto próby zabezpieczenia historycznych ruin. Nie pożalowali grosza na ten cel okoliczni mieszkańcy. Do dziś w murze tkwią kamienne „cegiełki” z nazwiskami donatorów: „Jarosław Safin profesor gimnazjum”, „Ks. Paweł Mikulski dziekan konkolnicki”, „Młodzież IV klasy Państwowego Gimnazjum w Trembowli”. Jest ich kilkadziesiąt. Zachowała się też tablica z 1932 r. upamiętniająca Związek i

Dokończenie na str. 8—9

relacje ZE ŚWIATA

● **WIELOTYSIĘCZNE** przesze pielgrzymów i turystów z całego świata uczestniczyły w uroczystościach Wielkiego Tygodnia i Świąt Wielkanocnych w Watykanie. W niedzielę przed Bazyliką św. Piotra uroczystą sumę pontyfikalną odprawił Jan Paweł II. Nabożeństwo to transmitowane było przez kilkadziesiąt telewizji świata, w tym — po raz pierwszy — przez Telewizję Polską.

● **NIE NOTOWANE** dotąd emocje towarzyszyły kampanii poprzedzającej wybory deputowanych ludowych w Związku Radzieckim. Podczas spotkań formułowano postulaty i propozycje również „o charakterze kontrowersyjnym”; w licznych przypadkach zgłaszano na jedno miejsce (okręgi wyborcze w ZSRR są jednomandatowe) po kilku, a nawet kilkunastu kandydatów. Niedzielne (26 marca) wybory nie przyniosły pełnych rozstrzygnięć — pewną liczbą kandydatów nie otrzymała wymaganej większości głosów. Dojdzie więc do wyborów uzupełniających. Jeszcze w kwietniu odbędzie się zjazd wszystkich 2250 deputowanych, podczas którego wyłoniona zostanie Rada Najwyższa i jej przewodniczący. Z bardziej znanych polityków znakomity benefis odnotował Boris Jelcyn, uzyskując 89,44% oddanych głosów i naturalnie gromiąc kontrkandydatów

(o politycznym come back Jelcyna piszemy na str. 3).

● **W KABULU** nadejście Nowego Roku Islamskiego powitano — 21 marca — strzałami w powietrze. Natomiast w Dżalalabadzie strzelanina oznaczała wymianę ognia między wojskami rządowymi, a mudżahedinami. Międzynarodowi obserwatorzy nie mają nadziei na pokój w Afganistanie, choćby w dającej się przewidzieć przyszłości.

● **RZĄD WĘGIERSKI** podjął decyzję o przejrzeniu wyroków sądowych z lat 1945—1962, co do których istnieje podejrzenie, że wydane zostały w oparciu o fałszywe dowody. Natomiast ponowne rozpatrzenie wyroków w sprawach związanych z wydarzeniami 1956 roku nastąpi — jak stwierdził minister sprawiedliwości K. Kulcsar — po zakończeniu prac komisji historycznej KC WSPR.

● **MARIANNA WIGGINS, ŻONA SALMANA RUSHDIEGO**, robi ostatnio furorę na zachodnich rynkach wydawniczych dzięki swojej powieści „John Dollar”. Wszystko miało się stać dzięki sprytnemu hasłu reklamowemu wywieszonemu w witrynie domu księgarskiego w Waszyngtonie. Otóż jego właściciele zachęcali do nabywania książki pani Wiggins-Rushdie w następujący sposób: „Jeżeli nie możesz czytać książki męża, przeczytaj książkę żony”. Obecnie zainteresowanie po-

wieścią „John Dollar” staje się powszechne. Rzecz traktuje o grupie uczniów brytyjskich z kolonialnej Birmy, które po katastrofie statku trafiają na wyspę zamieszkaną przez kanibali w towarzystwie marynarza Johna Dollara. Tam odbywa się proces formowania nowej religii tworzonej przez purytańskie dotąd pensjonarki, a której postacią kultową staje się bohater tytułowy. „Religia” obfituje w wymyślone obsceniczności rytualne, z kanibalizmem i ekscentrycznym seksem włącznie, mające być substytutem chrześcijaństwa anglikańskiego. Księgarze i wydawcy zacierają ręce. Krytycy literacy wskazują na dość wyraźne powinowactwo prozy Marianny i Salman'a. (i)

● **NA LITWIE** — jak pisze francuski „Le Monde” — ukazują się obecnie 150 niezależnych czasopism.

● **ZWIĄZEK RADZIECKI** zaczął podpisywać z rządami państw zachodnich porozumienia gwarantujące zabezpieczenie inwestycji zagranicznych na terytorium ZSRR. Pierwsze takie umowy podpisano z Finlandią i Belgią.

● **NIE MOŻE** być mowy o zmianie oceny wydarzeń 1968 roku w Czechosłowacji — doniosło „Rude Pravo”.

● **NA WĘGRZACH** już w tym roku zlikwidowane zostaną niemal całkowicie subwencje dla zakładów przemysłowych.

● **NA ŁOTWIE I LITWIE** rozpoczęto wypłacanie odszkodowań oraz zwracanie majątku osobom represjonowanym w okresie stalinowskim.

zwerbowania na agenta i chwała Bogu. (i)

● **PLL „LOT”** uruchomiły systematyczne (raz w tygodniu) połączenie z Tel-Awiwem. Natomiast od maja airbusy „PANAM” kursować będą — cztery razy w tygodniu — z Warszawy do Nowego Jorku. Bilet kosztować ma ok. 310 dolarów i ok. 200 tys. zł.

● **KATOLICKIE WYDAWNICTWO KSIĄŻKOWE „VERBUM”**, które istniało na początku lat siedemdziesiątych, już wkrótce wznowi działalność.

● **PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE** zapowiada ogłoszenie (pod koniec roku) subskrypcji na szesnastomową Wielką Encyklopedię.

● **PO DZIESIĘCIU LATACH** przełamany został regres w habilitowaniu się przez młodą kadrę naukową. W ubiegłym roku nadano ponad 600 stopni doktora habilitowanego; podobne bogactwo mieliśmy w połowie minionej dekady.

● **ABY URATOWAĆ PÓŁWYSEP HELSKI**, trzeba w ciągu pięciu lat wydobyć z wody i przesypać w pobliże plaż 10 mln. m sześć. piasku. Urząd Morski dysponuje sumą, za którą przesyłać da się jedynie 100 tys. metrów. Wszystko więc na to wskazuje, że przerwanie półwyspu i powstanie wyspy Hel jest już tylko kwestią czasu.

● **KAZIMIERZ KUTZ** adaptuje dla telewizji bestseller A. Rybakowa „Dzieci Arbatu”. W spektaklu bierze udział cały rocznik dyplomowy krakowskiej WPST oraz aktorzy Starego Teatru. W roli Stalina wystąpi Jerzy Trela. Premiera w czerwcu.

zła się ostatnio na dachu — dotowanej z państwowej kiesz — Woj. Federacji Sportu.

Z informacji Państwowej Inspekcji Radiowej wynika, że w Polsce z anten satelitarnych korzysta 920 indywidualnych odbiorców oraz 240 instytucji (co w praktyce oznacza ponad 2 tys. osób). Zezwolenie na kupno niezbędnego sprzętu posiada zaś 550 osób oraz 580 instytucji i 10 użytkowników zbiorowych.

● **W LUBELSKIM KANTORZE** banku PKO w ostatnich dniach płacono za dolara 2800 zł, przy sprzedaży zaś żądano 3000 zł. Oto notowania z innych miast regionu: Lubartów — 2800 (3100); Puławy — 2750 (2950); Kraśnik — 2500 (2800).

„KSIĄŻKI DLA LWOWA”

Kolejnymi ofiarodawcami książek dla dzieci z dwu polskich szkół znajdujących się we Lwowie są: Zbigniew Laskowski i Stanisław Maleszewski z Lublina oraz Barbara Zimna z Wrocławia. Dziękujemy! Przypominamy jednocześnie, że akcja „Książki dla Lwowa” trwać będzie do końca kwietnia.

Oprac. Zbigniew Miazga

KOMUNIKATY

Informujemy PT Czytelników, że począwszy od najbliższego wydania, tzn. od nr. 12, cena tygodnika „Relacje” będzie wynosić 70 zł. Zmiana ceny wynika z większego niż zakładano wzrostu kosztów niezależnych od wydawcy (papieru, usług, energii i transportu). Zwiększona cena pozwoli na urealnienie wpływów w stosunku do ponoszonych kosztów w procesie wydawniczym.

LUBELSKIE WYDAWNICTWO PRASOWE

★

Od kwietnia br. będziemy zamieszczać w naszym piśmie większą ilość ogłoszeń. Chętnych do skorzystania z naszych usług informujemy, że „Relacje” sprzedawane są nie tylko w województwie lubelskim i w regionie, ale także w całym kraju. Informujemy też, że ogłoszenia zamieszczane na naszych łamach mogą być opracowywane indywidualnie i atrakcyjnie przez grafikę, o ile zlecający wyraźnie to zaznaczy i zgodzi się ponieść nieznacznie wyższe koszty.

★

Zainteresowanych możliwością uzyskania archiwalnych egzemplarzy „Relacji” (od nr 1/89 do 10/89) informujemy, że kończą się nasze możliwości w tej mierze. Dotychczas przeprowadziliśmy już kilkadziesiąt kompletów, a jesteśmy w stanie zapewnić poszukującym brakujących wydań jeszcze około 20 kompletów. Przepraszamy, ale o tym, kto je uzyska — zdecyduje kolejność zgłoszeń do redakcji.

POLEMIKI

JESLI stawiamy sobie pytanie, czy Bierut był winien wszelkich aresztowań, prześladowań, szerszego się pod jego rządami terroru itp., trzeba wprawdzie postawić sobie pytanie, czy mogło być w tamtych czasach inaczej: czy kto inny na jego miejscu powstrzymałby się od stalinizacji, aresztowań, prób kolektywizacji itp., i na to pytanie należy odpowiedzieć, że w pewnym stopniu tak, ale tylko w pewnym stopniu; że niemożliwe było całkowite uniknięcie stalinizacji Polski w tymtych czasach. Dzisiaj wiemy to lepiej niż kiedy indziej, znamy bowiem lepiej ogólne prawidłowości, ogólne mechanizmy stalinizacji.

Bierut był niewątpliwie, jak to się dzisiaj mówi, małym Stalinem, ale takich małych Stalinów było wówczas w Polsce i gdzie indziej wielu. Tak wielu, że w pewnych okresach po II wojnie światowej Stalin miał z pewnością bardzo wielu zwolenników, można by chyba powiedzieć, że większość ludności w krajach Europy Wschodniej popierała Stalina i stalinizm, który kojarzył się z nowym ustrojem: ustrojem socjalistycznym.

„Wykłęty powstań ludu ziemi” i „Bój to będzie ostatni” — to słowa, które rozlegały się nie tylko na wschodzie, ale i na zachodzie Europy. Ze tak się stało, nie było to ani zasługą, ani winą Stalina; a w każdym razie nie było to tylko jego zasługą ani też tylko jego winą. Rewolucyjny marksizm, który, jak to się dzisiaj mówi, był wypaczony przez Stalina, nie pojawił się na wschodzie, lecz na zachodzie Europy. Dlaczego się tam pojawił, to wiadomo: winę za to ponosi ówczesny, drapieżny kapitalizm, który był główną przyczyną pojawienia się marksizmu właśnie w krajach najbardziej uprzemysłowionych.

Stalinizm nie był zatem wytworem samego Stalina, lecz wielu złożonych przyczyn i procesów społecznych i politycznych; był swego rodzaju prawidłowością procesów społecznych, dokonujących się pod wpływem nastrojów rewolucyjnych. Był możliwy pod

relacje z KRAJU

● **Z KRAKOWSKIEGO PRZEDMIĘSCIA**, miejsca obrad „okrągłego stołu”, na ul. Wiejską, do siedziby Sejmu, przeniesiona została w dn. 22 i 23 marca dyskusja o dziele reformowania naszego państwa. Pod obrady Izby przedłożono m.in. projekt ustawy o zmianie Konstytucji oraz projekt ordynacji wyborczej do Sejmu (obecna kadencja zakończyć ma się 3 czerwca) i Senatu.

Sejm, na wniosek premiera, powołał Michała Czarńskiego na stanowisko ministra pracy i polityki społecznej, zaś Józefowi Oleksu, dotychczasowemu I sekretarzowi KW PZPR w Białej Podl., powierzył tę funkcję ministra ds. związków zawodowych.

● **OBRADY „okrągłego stołu”** zmierzają do finału; na 3 kwietnia zapowiedziane jest końcowe posiedzenie plenarne. W związku z tym francuska lewicowa gazeta „Liberation” pisze: przed rozpoczęciem „okrągłego stołu” mówiono o tym, jaką cenę ma zapłacić „Solidarność” za swoją legalizację, a dziś okazuje się, że cenę za legalizację „Solidarności” ma zapłacić rząd.

● **TADEUSZ SERGIEJCZYK** z Wojakowskiego Instytutu Historycznego: „Historyk może stwierdzić autentyczność dokumentów, przebadając ich treść, ujawnić stan faktyczny. Ale nie sformułuje drzwi żadnego z archiwów, zanim nie zapadną przyzwalające decyzje polityczne: w przypadku Katynia nawet na najwyższym szczeblu. „Problem Katynia” ma przecież swój wymiar nie tylko historyczny, ale i poli-

tyczny, i to o pierwszorzędym znaczeniu”.

● **BIURO POLITYCZNE KC PZPR** postanowiło powołać komisję, która dokona oceny genezy i następstw okresu stalinowskiego w Polsce. Wyniki przedstawione zostaną Krajowej Konferencji Delegatów.

● **STOWARZYSZENIE ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ** powołano w Warszawie. Wybrany został Zarząd Tymczasowy oraz jego Prezydium, które podjęło starania o zarejestrowanie Stowarzyszenia.

● **W HUCIE IM. BIERUTA** w Częstochowie odbyło się referendum wśród załogi dotyczące zmiany nazwy tego przedsiębiorstwa. Większość załogi wypowiedziała się za przywróceniem nazwy Huta „Częstochowa”.

● **SPRAWA PRZECIWKO JERZEMU URBANOWI** znalazła swój finał w sądzie warszawskim. Rozpatrując po raz kolejny (po odwołaniach do wyższej instancji) powództwo pracowników nauki przeciwko rzecznikowi prasowemu rządu, skład orzekający wobec braku dowodów na powiązania grupy uczonych z wywiadem USA, co sugerował publicznie Jerzy Urban, a także wobec oświadczenia pełnomocników pozwanego, w którym wyrazili w imieniu klienta ubolewanie, sprawę zamknął po zawartej ugodzie. Okazuje się, że odwieczanie jakiegokolwiek ambasady nie musi od razu oznaczać

cinności obdarzamy «czym chata bogata». [...] Prawdą chcemy dzielić się ze wszystkimi...”

● **W OBRADACH** zespołów i podzespołów „okrągłego stołu” uczestniczyli także przedstawiciele woj. lubelskiego. Trzech spośród nich zasiadało po stronie koalicyjno-rządowej, zaś sześciu reprezentowało stronę opozycyjno-solidarnościową.

● **WOJEWODA LUBELSKI** podjął decyzję o likwidacji zakładu produkującego eternit. Powód: przedsiębiorstwo stosuje technologie (ponoć trudne do wyeliminowania) powodujące zatrucie środowiska ponad dopuszczalne normy.

● **NA LICYTACJĘ** ma trafić 25 mieszkań znajdujących się w dwu odnowionych kamienicach lubelskiego Starego Miasta.

● **W LUBLINIE**, po mieszkańcach Łęgów (Czuby), do oglądania telewizji satelitarnej sposobą się lokatorzy elesemowskich osiedli: Krasińskiego i Prusa. Czasza „kosmicznej” anteny znala-

relacje z REGIONU

● **DO STRAJKUJĄCYCH**, albo też grożących strajkiem, dołączyli ostatnio rolnicy z ok. 30 gmin woj. zamojskiego. Domagają się zatrzymania galopady cen (ropy, maszyn oraz części do nich, nawozów etc.), sprawiającej, że produkcja rolnicza staje się nieopłacalna. W związku z podjętymi mediacjami strajk czynny, sprowadzający się do niedostarczenia do punktów skupu mleka i żywności, nieplacenia podatków — wstrzymany został do 15 kwietnia.

● **REKTOR KUL**, bp. Jan Śrutwa, zwrócił się z odezwą — odczytaną w całej Polsce z ambon w wielkanocny poniedziałek — w której dziękował za ofiary przekazane uczelni, informował także o dniu dzisiejszym uniwersytetu. Oto fragment: „W ostatnich latach wśród studentów KUL pojawili się także goście z Ameryki i Europy Zachodniej, studenci z Jugosławii i Węgier, a nawet księża ze Związku Radzieckiego. Przyjmujemy ich z otwartymi ramionami i według polskiej goś-

POLITYCZNY COME BACK BORISA JELCYN

Wiesław Horabik

BORIS Jelcyn, jedna z najbardziej kontrowersyjnych postaci na scenie radzieckiego życia politycznego, były szef Moskiewskiego Komitetu KPZR (urzędowanie rozpoczął od usunięcia kilkudziesięciu biurokratów), uważany za przywódcę radykalnych liberałów, udzielił ostatnio wywiadu amerykańskiemu tygodnikowi „Time” (nr 11 z 20 marca 1989).

Zapytany o szczególne przeżycia, jakie popchnęły go na drogę, po której obecnie kroczy, wspominał, jak to w 1952 roku przejechał Związek Radziecki wzdłuż i wszerz, mając w kieszeni zaledwie jedną kopiejkę. „Inaczej podróżuje się, dysponując książeczką czekową, a inaczej posiadając jedynie legitymację studencką Uralskiego Instytutu Politechnicznego — powiedział. — Nauczyło mnie to wiele, kiedy na przykład podróżowałem bez biletu na dachu wagonu lub kiedy spędzałem noc w szopie z biednymi, bezdomnymi ludźmi. Tak właśnie podróżowałem, choć dziś wydaje się to nieprawdopodobne”.

By zarobić na jedzenie, młody Jelcyn pracował przy wyładunku węgla z wagonów, a także uczył matematyki pułkownika Czerwonej Armii, który miał właśnie zdawać na wyższą uczelnię. Po uzyskaniu dyplomu Jelcyn mieszkał przez dziesięć lat w barakach w Swierdłowsku. Było tam dwadzieścia pokoi, a każdy z nich zajmowało pięciu ludzi, by nie wspomnieć o koźle, który spał obok.

WTRAKCIE moskiewskiej akcji przedwyborczej Jelcyn zorganizował błyskotliwą kampanię, objeżdżając miasto, przemawiając do wiatujących tłumów, odwiedzając zakłady pracy. Oskarżony jesienią 1987 roku o utratę poparcia mieszkańców

stolicy, postanowił przekonać się naocznie o stosunku moskwiaków do swojej osoby. Wszędzie budził największy entuzjazm.

Ogromna popularność Jelcyna wynika nie tylko z poparcia dla jego reformatorskiego radykalizmu, ale również z przekonania o jego uczciwości. „Kiedy zostałem mianowany wiceministrem, zjechałem z dziewiątego piętra tego budynku na czwarte — mówi. — Dzień później pojawił się u mnie człowiek, proponując mi dostęp do sklepów dla uprzywilejowanych. W moim gabinecie zrobił zaledwie dwa kroki. Powiedziałem mu: »Nie winię pana, wiem, że został pan tutaj przysłany. Ja jednak mam zasady. Jestem przeciwny takim rzeczom. Niech pan tu więcej nie przychodzi«”.

Jelcyn zachował jednak samochód służbowy, dachę, mały, drewniany domek w ministerialnej dzielnicy, korzysta także z usług rządowej służby zdrowia. Mimo to jest wyjątkiem wśród elity władzy.

NAWIAZUJĄC do swego głośnego sporu z Igorem Ligaczowem, Jelcyn określa go jako człowieka o zachowawczych poglądach w sferze taktyki, konserwatystę, który komplikuje procesy pieriestrojki. Uważa, że za Ligaczowem stoją określone siły. Trudno je zdefiniować, gdyż nie są one zorganizowane, a jednak istnieją. Grupa ta nie stanowi realnej opozycji wobec Gorbaczowa, jest jednak elementem skutecznie hamującym proces przemian.

Poglądy Jelcyna na temat pieriestrojki odbiegają od założeń tzw. oficjalnej linii partii, reprezentowanej przez Gorbaczowa. Popierając w pełni jego działania na arenie międzynarodowej, Jel-

cyn dyskutuje z założeniami Gorbaczowa w sferze polityki wewnętrznej. Nie podziela oficjalnego poglądu, że pieriestrojka powinna funkcjonować od razu we wszystkich dziedzinach życia społecznego. „Nie jesteśmy jeszcze na to wystarczająco dojrzały — mówi. — Jeszcze nie przeszliśmy przez psychologiczną restrukturyzację w odniesieniu do procesów demokratycznych. Musimy więc iść do przodu etapami. [...] Rzucając się od razu w różnych kierunkach, dokonaliśmy niewielkiego postępu w zakresie podnoszenia standardu życia ludzi pracy”.

Boris Jelcyn jest zwolennikiem powszechnych, wolnych, bezpośrednich i tajnych wyborów do wszystkich organów przedstawicielskich włącznie z wyborem przewodniczącego Rady Najwyższej. Opowiada się także za radykalnymi cięciami w wydatkach na armię i służbę bezpieczeństwa. Jeśli chodzi o system wielopartyjny, uważa, że nie wszystkie zamki i nie u wszystkich drzwi zostały już w ZSRR otwarte. Pozostają jeszcze te pokryte woskową pieczęcią. Sądzi, że pierwszym krokiem w tym kierunku winno być podjęcie dyskusji nad ewentualnością podobnej koncepcji.

Boris Jelcyn twierdzi, iż stan chaosu w radzieckiej gospodarce wynika przede wszystkim z faktu, iż od początku nie realizowano hasła proklamowanych w październiku 1917 roku: „Władza w ręce Rad”, „Ziemia dla chłopów”, „Fabryki dla robotników”, „Chleb głodnym”. Autorytarne kierownictwo i, co za tym idzie, brak demokracji doprowadziły do swoistej apatii wśród ludzi, do obywatelskiego nihilizmu, do sceptycyzmu. Kult jednostki procesy te jeszcze pogłębił. Drugą przyczyną

stało się negowanie zasad konkurencji i procesów rynkowych. Pojęcia te wy-mazano nawet ze słownika ekonomicznego. Zmarnowano w ten sposób wiele środków i wielu ludzi. System „urawniłowki” doprowadził do obniżenia wydajności pracy. Nagrodą za przekroczenie norm produkcyjnych była nie wyższa płaca, lecz wątpliwej wartości satysfakcja ambicjonalna.

„Rosyjski charakter nie jest słabszy od amerykańskiego — powiedział Jelcyn przeprowadzającemu wywiad Davidowi Alkmanowi. — My także posiadamy ludzi z talentem do robienia interesów, ale w sferze przedsiębiorczości nasi przemysłowcy dokonali szybszego postępu. U nas o przedsiębiorczości zaczęliśmy mówić dopiero od niedawna”.

JELCYN nie uważa się za alternatywnego polityka wobec Gorbaczowa. Deklaruje tylko szczególne wyczulenie na problem sprawiedliwości społecznej. Jest ona konieczna dla polepszenia moralnego i psychologicznego klimatu w społeczeństwie. „Nie potrzeba od tego szczególnych środków — twierdzi. — Konieczne są jedynie wyrzeczenia ze strony pewnych ludzi. Nie uważam tego za slogan. Interes publiczny musi zawsze przewyższać interesy partykularne”.

Jelcyn uważa, że w ZSRR także ludzie władzy powinni mieć zapewniony pewien komfort działania. Dziś w przypadku zwolnienia ze stanowiska nie mogą być pewni swej przyszłości. „U was [w USA — przyp. W.H.] — mówi Jelcyn — polityk może posiadać własną farmę, kapitał, fabrykę — i nie martwi się, pozostawiając chwilowo te dobra, by zająć się karierą polityczną. Zawsze może do nich wrócić. Czuje się całkowicie bezpieczny. A ja nie mam nawet zaoszczędzonego rubla”.

Boris Jelcyn bardzo pragnął zostać deputowanym ludowym ZSRR. Zapytany o powody tak wielkiego zaangażowania emocjonalnego w kampanię wyborczą, odparł metaforycznie: „Gdyby napadnięto pana na ulicy i obrabowano, z pewnością chciałby pan, aby napastnika schwytano i zidentyfikowano”. Chodzi mu więc przede wszystkim o praworządność.

Boris Jelcyn ma 58 lat i regularnie grywa w tenisa.

wplywem poparcia szerokich mas, które uzyskiwały awans społeczny i możliwość zrównania się z innymi warstwami społecznymi. Tak jak polityka Hitlera popierana była przez naród niemiecki, tak polityka Stalina — przez klasę robotniczą. Czasem wydaje się to dziwne, że Niemcy popierali Hitlera, ale dlaczego miałby go nie popierać, skoro od czasu objęcia władzy aż po klęskę pod Stalingradem odnosił same sukcesy? Osiągnięcia miał również Stalin. Rosja carska nigdy nie uchodziła za supermocarstwo; Związek Radziecki nazywany jest tak do dziś. Stalin miał jeszcze i tę zasługę, że likwidował hitlerowskie obozy koncentracyjne. Likwidował obozy hitlerow-

ty, „masy pracujące” Stalina, chłopów pańszczyźniani cara przeciw powstańcom i kogo to dziś obchodzi? A to są przecież fakty, a fakty — to prawda. Ale czy prawda ma jakieś znaczenie w historii? Ma, ale czy duże? Czy pierwszorzędne, czy może tylko drugorzędne? A może pierwszorzędne znaczenie ma zawsze i tylko wszechobecny czyjś interes polityczny? Ci, co popierali Hitlera, wiedzieli, ma się rozumieć, coś nieco o jego zbrodniach; i co z tego, i nic; ci, co popierali Stalina, wiedzieli coś nieco o jego zbrodniach, nie wszystko, oczywiście, i co z tego: nic. Ale czy warto stawiać sobie takie trudne pytania? Czy nie lepiej mówić to, co mówią teraz wszyscy, a

na dłuższą metę nie poddaje się zabiegom niwelacyjnym. Idea ta była i jest jednak zawsze na pierwszy rzut oka bardzo pojętna i przyciągała zawsze szerokie masy; zwłaszcza ludzi biednych, słabych i opuszczonych. Wszystkich tych, którym marzy się jakiś bliżej nieokreślony raj. Idea ta może oczywiście porwać na jakiś niedługi okres masy do działania, do czynu. I tak też się stało za czasów Stalina i Bieruta.

Bierut nie był aniołem, ale za jego czasów i potem Lublin, którego był mieszkańcem, potroił swój obszar i liczbę mieszkańców. Jaki był, to był, ale był osobą znaczącą i rozwijającą

ale diabeł był kimś znacznie gorszym od Bieruta; a jeśli tak, to należałoby chyba najpierw rozebrać i przetopić kawiarnię „Czarcia Łapa”, i wzniesić w tym miejscu mauzoleum ofiar szatana. Można, rzecz jasna, ze względów czysto estetycznych zredukować liczbę powtarzających się nazw (pamiętek), lecz rozbieranie i przetwarzanie pomnika po to, by na tym miejscu wzniesić z tego materiału jakiś inny, wydaje się pomysłem chybnym.

Bierutowi nie postawiono pomnika za to, że był „małym Stalinem”, lecz dlatego, że był mieszkańcem miasta Lublina, że w okresie międzywojennym był prześladowanym i więzionym działaczem społeczno-politycznym; że był pierwszym prezydentem Polski Ludowej. To w zupełności usprawiedliwia nadanie jego imienia ulicy lub fabryce; usprawiedliwia i całkiem wystarcza. W życiorysie każdego człowieka można znaleźć, jeśli się chce, nie wyłączając tych, których imieniem nazwano ulicę, miasto lub plac, jakieś kompromitujące szczegóły, a cóż dopiero w życiorysie tych, którzy byli zaangażowani w toczącą się wojnę domową. Czy osoby te mogą być w ogóle osobami bez skazy? Prawdopodobnie nigdy takimi nie są.

Nie wiem, czy Bierut podpisywał wyroki śmierci, ale jeśli podpisywał, to trzeba wiedzieć o tym, że wyroki śmierci były wydawane również na niego i jego towarzyszy. Wymownym tego przykładem może być śmierć Czugały.

Obecnie mówi się dużo o urzędzie prezydenta i nie wymaże się przecież faktu, że pierwszym prezydentem w Polsce Ludowej był Bierut. Nie wymaże się też faktu, że był mieszkańcem Lublina i brał udział w konferencji poczdamskiej. I czy ma sens wymazywanie i usuwanie jakichkolwiek faktów z przeszłości i czy fakty można w ogóle usunąć? A o to chodzi prawdopodobnie Norbertowi Wojciechowskiemu i innym. Bierut był stalinowcem, a Wojciechowski nie był; ale gdyby Bierut żył w naszych czasach, byłby tak samo mądry, jak niejedyn Wojciechowski.

Henryk Borowski
Lublin

STALIN, BIERUT I „CZARCIA ŁAPA”

skie, ale zakładał własne.. A może wcale tego nie chciał? Może uczynił to tak jakoś mimo woli? A czy własne zakładać chciał? Może również uczynił to tak jakoś mimo woli? A kto tego właściwie chciał? Bo przecież musiał ktoś tego chcieć? Może był to, w pierwszym przypadku, jakiś dobry duch, w drugim zaś, jakaś siła nieczysta, zła, nadprzyrodzona? A może były to ludzkie i nadludzkie zarazem prawa historii?

O zasługach Stalina mówić teraz nie wypada. Są zresztą po temu ważne powody; ale nie dajmy się zwariować: inaczej te sprawy przedstawiają się w ZSRR, a inaczej u nas. To właśnie stalinizm uczył jednostronne patrzenia na różne sprawy i odzwyczajał od obiektywizmu. Dlatego też, jeśli ktoś nie chce być stalinistą, powinien się tego wystrzegać. Powinien mówić prawdę, ale stalinizm niejedno ma imię. A może stalinizm, hitleryzm itp. to sprawy odwieczne, a swobodne myślenie, obiektywizm i bezstronność niemożliwe? A może możliwe, lecz zagrożone wciąż i niebezpieczne? Stalin wypiera Hitlera, XY Stalina, ZW — X-a i Y-ka itp. Oto pytanie o wieloma niewiadomymi: Niemcy popierali Hi-

potem to, co będą wszyscy mówili potem? Czy nie mamy większych zmartwień; a poza tym ileż to spraw można załatwić posługując się pewnym uproszczonym schematem? Schematem kozła ofiarnego: tylko że, jeśli już posługujemy się przysłowiami, należy przytoczyć i takie, że czyniąc tak — łatwo wylać dziecko wraz z kąpielą. Przy czym kąpiel i wszelkie brudy, to oczywiście stalinizm, a gdzie dziecko? A może dziecka wcale nie było?... No dobrze, nie było, a kto w takim razie nasiusił?

Stalin to nie to samo co stalinizm. Stalinizm to swego rodzaju system, metoda, to sposób działania polegający na totalnej (wewnętrznej i zewnętrznej) dyktaturze. To system wyróżniający się wśród innych systemów dyktatorskich tym, że swoje metody działania usprawiedliwiał dążeniem do powszechnego dobrobytu i równości; dążeniem, które staje się również dążeniem szerokiego ogółu ludzi. Dążenie takie nie jest zresztą czymś nowym; jest jednak przez system ten w sposób nieodpowiedzialny rozbudzone. Nieodpowiedzialność ta wynika z nieznajomości ludzkiej natury, która jest na tyle egoistyczna, że

się miasto jego imieniem nazwało jedną z nowo powstałych ulic, znalazło się też miejsce i na jego popiersie. Nie widzę w tym nic dziwnego, zwłaszcza że nie o Bieruta tu nawet chodzi. Bierut jest tu tylko swego rodzaju symbolem. Ulica musi się przecież jakoś nazywać, a nazwa „ulica Bieruta” jest nawet dość łatwa w wymowie. Likwidowanie tych pamiętek i nazw byłoby teraz swego rodzaju gwałtem na historii, plamą, która powstałaby po ich usunięciu, a plamy należy wywabić. Pamięć i nazwy historyczne nie muszą być bynajmniej powiązane z osobami świętymi; Neron spalił Rzym, ale nikt nie ośmieliłby się, nawet w tym chrześcijańskim Rzymie, zniszczyć po nim jakiegokolwiek pamiętki. Nawiasem mówiąc, kiedy byłem w Rzymie, przewodnik wycieczki opowiadał, że w pewnym czasie zaczęto gwałtownie rozbierać wzniesione przez Nerona Koloseum; chodziło o to, żeby zatrzeć ślad po miejscu męczeństwa pierwszych chrześcijan, i dopiero pogłoska, że w Koloseum nie było żadnych tortur powstrzymała ludzi od całkowitej dewastacji tego obiektu. Ale Koloseum wyszczerbione jest do dziś. Gdyby nie masowa rozbiórka, byłoby idealnie okrągłe. Kto jak kto

BYŁ TYLKO SAMOTNY. Z TYM TRUDNO ŻYĆ - MOWIĘ. ALE NIKT MNIE NIE SŁUCHA

— WYGLĄDAŁ, jakby dopiero się położył. — Zaworska z trudem, chaotycznie zbiera słowa. — Taki spokojny, ładniutki... Tylko z buzi krew mu się sączyła, a na szyi miał sine smugi. Zaraz go wycalowałam, po rękach, po twarzy, mówię pani, jak własne dziecko. I krzyczałam nad nim: „Coś ty, synu, zrobił?”

9 marca Darek Sidorczyk, uczeń ósmej klasy szkoły podstawowej w Dęblinie, powiesił się. Na białym pasku od kimona dżudoki.

Wychowawczyni Darka także jest zaskoczona. W czwartek był jeszcze w szkole na wszystkich lekcjach. Kierowniczka polinternatu mówiła, że nawet wyjątkowo grzecznie się zachowywał, zjadł cały obiad. Żadnego sygnału, że dzieje się coś niedobrego, nie było.

Przeglądam dziennik VIII c. W rubryce Darka, pod numerem 17 — zapisano 176 godzin nieobecnych, w tym 116 — nie uprzedziliwionych.

— To nie był ten sygnał? — pytam wychowawczynię.

potrafią nas zrozumieć. Jeszcze mogliby nakrzyczeć... Rodzice najczęściej pytają, czy mamy lekcje odrobione. Lepiej nie zabierać im tego czasu i nie narażać się na wstyd. Zawsze można porozmawiać z koleżanką albo z kolegą...

„Syjo” mówi, że „Polo”, znaczy Darek, czasem się zwierzał. Byli przecież do brymi kumplami. „Polo” opowiadał nieraz, że ma kłopoty w domu. Starszy brat go tłukł. Nie martwił się dwójkami, nie był nerwowo, wręcz prze-

— Marzył o tym, żeby mieć polskie wycieruchy — przypomina sobie „Jany”.

— Czuje się, że o jednego mniej, że straciliśmy kolegę — mówi Grażyna z powagą. I klasa VIII c zamyśla się. Ale gdy zamykam za sobą drzwi, wraca hałaśliwie do swoich ważnych spraw.

— Opowiedz — proszę „Syja”, gdy jedziemy na osiedle Darka.

— Tego dnia mieliśmy trening... — zaczyna powoli, zastanawiając się co chwile. — Chodziliśmy do klubu na dżudo. Darek nawet robił postępy, ja nie... Teraz nie chce mi się już chodzić. Przyszedłem do niego za piętnaście czwartą. Darek właśnie prał sobie tenisówki w wiaderku w kuchni, bo następnego dnia mieliśmy jechać na zawody. Wtedy jego brat powiedział: „Nie masz gdzie butów prać?” I przewrzał go „brudas” czy coś w tym rodzaju. I pokłócili się. Darek trzasnął drzwiami do pokoju, wtedy Mirek zaczął go bić. Darek był skulony, a tamten go lał. Zaraz wyszedłem. Postałem z dziesięć minut na klatce, bo myślałem, że Darek pójdzie na trening, ale on nie wychodził. Więc poszedłem do domu. Wtedy widziałem go po raz ostatni. Nie mogę uwierzyć, że zadał sobie śmierć — „Syjo” spuszcza głowę. — Taki był zawsze uśmiechnięty... Zawsze czegoś szukał, wszystkim się interesował... Chciał iść do szkoły elektronicznej, do Lubartowa. Lubił majsterkować. Miał różne plany. Dlaczego on to zrobił, proszę pani?

— Po prostu nie chciał żyć, wiesz? — mówię. — Dłużej już nie.

Osiedle jest bure i brzydkie. Młodsza dzieciarnia korzysta z pogody i grzebie się w piaskownicy. Poza tym — bezruch wczesnego popołudnia. Kazimiera Florczakowa zna to swoje osiedle. Ma czas obserwować bo siedzi na rencie. Jeśli chodzi o mieszkańców, to jest takie właśnie jak cały Dąbrowa: wojskowo-kolejarsko-cywilne. A ludzie różni. Raczej spokojni. Dużo porządnych, trochę drobnych pijaczków. Dzieciaków sporo. Florczakowa ubolewa nad tym, że wyłamują drzewka z nudów.

— Cholerny wandalizm — określa czyny małolątów dość dosadnie. — Czas jest teraz taki, że jak tylko dziecko zaczyna lazić, to wystawia się je za drzwi. Dzieci takie — jakie ich chowanie — mówi Florczakowa. — Jak się ma w domu wyfroterowane podłogi, wszystko wychuchane—wydmuchane, jak to w muzeum, to kromkę chleba za drzwi i krusz sobie na klatce. Ja bym najpierw wychowała rodziców...

CHCIAŁ BYĆ KOCHANY

Ewa Czerwińska

Dyrektorka szkoły zachowuje spokój. — Był zupełnie przeciętny. Niczym się nie wyróżniał. Zdolny, ale wyników w nauce nie miał. Pamiętam, że po raz pierwszy zwróciłam na niego uwagę, gdy był bodajże w drugiej klasie. Mirek, jego starszy brat — w piątej. Patrzył, a te dzieciaki jakieś takie zabiedzone... Okazało się, że matka wyjechała i były same.

— A ojciec?

— Ojciec szkoły nie odwiedzał, bo nie chciał. Kiedyś wreszcie zadzwoniłam do jego dowódcy i mówię, że dzieciaki głodują, żeby Sidorczyk się zainteresował. To on mi na to: „A pani nie wie, że jego żona jest psychicznie chora?” Tyle mi pomógł. Szkoła pomagała chłopcom. Dawaliśmy im zapomogi, bezpłatne obiady. Ale matka była ambitna. Przychodziła do mnie i robiła wymówki, że nie życzy sobie żadnej pomocy. Wtedy myśm, wie pani, jak to jest, ukrywali przed dziećmi, że te obiady są darmowe. Niech mi pani wierzy: naprawdę robiliśmy wszystko, żeby Darkowi jakoś pomóc. Nikt się nie spodziewał jego śmierci. Przecież poważnych problemów z nim nie było, nie uciekał z domu...

— Owszem, Darek był trudnym chłopcem. Ostatnio często opuszczał lekcje, ale — o ile wiem — powodem była choroba babci. Interesowałam się sytuacją domową Darka, bo jestem opiekunkiem tej rodziny. Po śmierci matki, w osiemdziesiątym siódmym roku, chłopcami zajęła się babka. Przychodziła do szkoły i skarżyła się, że ma kłopoty materialne i że Darek jej dokucza. Kilka razy byłam u nich w domu. Tłumaczyłam. Po tych rozmowach Darek trochę się zmieniał.

— Co jeszcze może pani o nim powiedzieć?

— Nie zwierzał mi się. Dzieci w tym wieku skrywają swoje problemy. Krępują się mówić o sobie. Darek zawsze dostawał promocję do następnej klasy, szczególnie indywidualnie go traktowaliśmy. A byłby dobrym uczniem, gdyby miał go kto dopilnować. Nie wiem naprawdę, co się w tej głowie nie wykluczało... Z moją klasą mam tylko trzy godziny tygodniowo, więc jest fizycznie niemożliwe, żebym poznała dobrze każdego ucznia. A mam ich w klasie dwudziestu sześciu.

— Lepiej nie zwierzać się dorosłym — twierdzi VIII c. — Oni nie

ciwnie: zawsze był wesoły. Interesował się modelarstwem i pirotechniką. W czasie wakacji uczył się grać na trąbce. Lubił chodzić do kina. W środę, w dzień przed śmiercią, był na filmie od lat osiemnastu. W Zyczy nie miał podobno dziewczynę, ale nikt jej nie zna.

— We wtorek — dodaje „Długi” — „Polo” jechał do Zyczy na wagary razem z kolegą. I ten kolega mówił, że robili sobie zawody, kto dłużej wytrzyma za drzwiami, na stopniu. Wtedy „Polo” powiedział: „Nie mam ani ojca, ani matki, to po co żyć?”

— Jak umarła mu matka — dodają dziewczęta — to złożyliśmy się na wieńiec, a to, co zostało, daliśmy Darkowi, żeby miał kieszonkowe na wycieczkę. Matka była nerwowa i miała astmę. Darek bardzo przeżył jej śmierć. Mówił, że to ojciec ją wykończył. Ojciec był pijakiem i przegrywał pieniądze w karty. Darek źle się o nim wyrażał...

— Może czuł się wśród was gorzej?...

— Chyba nie... — zastanawia się klasa. — Był normalnie ubrany, jak każdy... Czysty. Zawsze żartował.

KPP A NIEPODLEGŁOŚĆ

Albin Koprukowniak

W ŚRÓD ostatnich lektur dotyczących polskiego ruchu robotniczego, jego tradycji i myśli politycznej, szczególną moją uwagę zwróciła książka H. Cimka, traktująca o stosunku Komunistycznej Partii Polski (od 1918 do 1925 — KPRP) do państwa polskiego czasów drugiej Rzeczypospolitej¹.

Autor od wielu lat zajmuje się myślą polityczną i praktyczną działalnością rewolucyjnego nurtu na polskiej mapie politycznej okresu międzywojennego². Tym razem przedstawił nową koncepcję i nowe spojrzenie na ten kierunek polityczny, który przez wiele lat otaczany był szeregiem uproszczonych sądów i niedomówień.

H. Cimek dokonał bardzo ważnej i udokumentowanej analizy, demitologizującej założenia programowe i postawę wielu działaczy KPP w dwu istotnych kwestiach: stosunku do problematyki narodowej (w aspekcie idei rewolucji socjalistycznej i internacjonalizmu) oraz zewnętrznych uwarunkowań jednostronnego oglądu spraw polskich.

Praca H. Cimka przynosi gorzkie i zarazem bolesne prawdy o programie i praktycznej działalności tej partii w okresie 1918—1938 i stara się odpowiedzieć między innymi na pytania: jaki był stosunek komunistów do niepodległości Polski, jakie stanowisko wobec

kształtu granic powstającego państwa, do państwa polskiego w aspekcie bytu niepodległego i suwerenności? Oczywiście pytań takich można byłoby przytoczyć znacznie więcej. W tych najważniejszych — partia, mimo istotnej ewolucji w omawianym okresie swoich poglądów i programu, nie potrafiła do końca wyzbyć się niesłusznych, błędnych i szkodliwych dla interesu polskiego koncepcji.

Oto już w momencie rodzenia się niepodległego państwa polskiego — nie wysunęła programu niepodległości, odrzucając nawet takie hasła, jak autonomia czy samookreślenie. Od początku negowała odradzające się państwo polskie i jego instytucje, nawet wtedy, gdy rządy znajdowały się w ręku lewicy polskiej. Głosiła tezę o wielkomocarstwowym aspiracjach „polskiego nacjonalizmu, zwłaszcza w okresie wojny polsko-radzieckiej. Nie doceniała jednak uczuć patriotycznych, tradycji narodowych i chęci posiadania własnego państwa, tak silnych w społeczeństwie polskim”.

Partia wychodziła z błędnej przesłanki o rewolucyjnej sytuacji w Europie, o rychłym przewrocie socjalistycznym, a zatem twierdziła, że niepodległe państwo będzie mieć krótki żywot. Negatywnie odnosiła się do walki o

zachodnie granice polskie podczas powstań śląskich i akcji plebiscytowej.

A więc Polska bez Górnego Śląska, Pomorza i Gdańska — oto naczelna teza KPP, chociaż J. Marchlewski wyrażał inne przekonanie. Według niego, w granicach państwa polskiego winny znaleźć się: Królestwo Polskie, Galicja Zachodnia z częścią Śląska Cieszyńskiego, Poznańskie, znaczna część Prus Zachodnich i Górnego Śląska. Oczywiście wspomniane stanowisko zostało odrzucone całkowicie. Występowano natomiast z hasłem oderwania od państwa polskiego tzw. Kresów i przyłączenie do republik radzieckich — białoruskiej i ukraińskiej, nie pytając nawet o zgodę ludności tu mieszkającej.

W pewnym stopniu zmodyfikowano stanowisko w kwestii narodowej w 1923 roku, ale nie na tyle, by można mówić o przyjęciu programu zgodnego z polskim interesem narodowym. Przedłużeniem dyskusji w tej kwestii była IV Konferencja partii w listopadzie — grudniu 1925 roku. Ścierały się tu różne koncepcje i poglądy — od całkowitego negowania potrzeby istnienia państwa polskiego w ówczesnym ustroju społeczno-politycznym, aż do bardziej realistycznych stwierdzeń. Padają sądy w rodzaju, iż w ówczesnych granicach „Polski uratować się nie da. Bo to nie jest Polska”, a więzienie narodów,

Natomiast F. Fiedler jakże gorzko wypowiadał się, stwierdzając, że partia jest za prawem do niepodległości Ukraińców, Białorusinów i Litwinów, „a zapominała o Polakach”. Jego zdaniem, komuniści byli w oczach robotników agentami Moskwy. Postulował, by KPP jasno stwierdziła, że „nigdy nie negowała Polsce prawa do niepodległości...”

Było to stanowisko odosobnione wówczas, a i w okresie późniejszym torowało sobie drogę bardzo powoli i w ciągłej walce z sekcjarskim i dogmatycznym podejściem do kwestii narodowej i niepodległego państwa polskiego. Najwymowniej świadczy o tym stosunek do Wolnego Miasta Gdańska, które winno, jak sądzono, znajdować się w granicach państwa niemieckiego. Teza ta była formułowana na kilka miesięcy przed dojściem Hitlera do władzy.

D RUGIM przykładem błędności w podejściu do problemów polskich na Wybrzeżu był stosunek do budowy portu w Gdyni. Niektórzy wybitni działacze partii uważali, że Gdynia i port polski „będzie wojskową bazą morską skierowaną przeciwko ZSRR i Niemcom. Zakończenie procesu „ekonomicznego duszenia” przez Polskę Gdańska stanowić miała budowa

Florczakowa działała w komitecie osiedlowym, w sekcji opiekuńczej. Śląd właśnie zna sprawę Sidorczyków. U nich nigdy nie było jak u ludzi. U nich od początku była wielka tragedia. Sidorczyk pił i grał w karty. Jak się upijał, to straszył tę biedną Sidorczykówną, bił ją, wyzywał, aż dostała nerwową chorobę. W końcu wywalili Sidorczyka z wojska za to pijaństwo. Wtedy poszedł w Polskę i matkę Sidorczykównę rozleciało. Sidorczykówna coraz częściej dostawała ataków. Wyjeżdżała nie wiadomo gdzie, nie pracowała, nie zajmowała się dziećmi. Żyli za marne alimenty. Sąsiadki czasem podtykały jej to żupę, to jakiś kotlet. Ale ona była dziwna. Nieraz Florczakowa proponowała Sidorczykównie pracę, ale ona kręciła nosem: „do fizycznej nie pójdę, bo ja mam przecież maturę”.

Florczakowa nie dziwi się: kobieta była inteligentna, czytana, bardzo pracowita; ale coś z tego: psychicznie chora. Głodowała ona i jej dzieci. Dwa lata temu dostała zapalenia płuc i umarła. Sidorczyka na pogrzebie nie było. Przysłał tylko kolegów, żeby się dowiedzieli, czy to prawda. Wtedy chłopcami zainteresował się komitet. Mieli pójść do domu dziecka, ale Mirek, ten starszy, zbuntował się. W końcu przyjechała matka Sidorczykówny z chełmskiego i zgodziła się przyjąć opiekę.

— Po śmierci Sidorczykówny — relacjonuje Florczakowa — to była taka niedza, że tylko się i płakać. Nic nie mieli. Jedną koldrę i koc. Tośmy w komitecie ustalili, że trzeba pomóc. Poduszki kupiliśmy, szkoła też coś dorzuciła. Ubrania daliśmy, ale wie pani, chłopcy szybko wyrastają. Najważniejsze, że nie byli już głodni.

Najważniejsze, że nie byli już głodni — powtarzam za Florczakową.

Zaworska, matka jednego z kolegów Danka, jest wstrząśnięta. — Był jak każde dziecko w tym wieku — zastanawia się — żywy, wesół. Jak se wspomnę, to zaraz idzie mi prąd do nóg. Parę razy był u nas w domu, to go herbata, poczęstunek, kanapki robiłam. Co mu odbiło? Może dlatego się powiesił, że nie miał tej miłości matczyńskiej, tego zrozumienia? Piętnaście lat to jest najgłupszy wiek. Mój syn lubi otwierać, jak coś mu się nie podoba, ale ja to muszę znieść. Ja i przytulę, i pogłaskam. Choć jedno czule słowo powiem, żeby wiedział, że jest kochany.

Ośledłowa bibliotekarka, z którą czas jakiś pracowała matka Danka, także o wychowaniu: — Znałam obydwu chłopców, bo przychodzili do biblioteki. Mirek, starszy, to poważny chłopak. Dużo czyta. Rozsądny, spokojny. Uczy się w szkole zawodowej. Ten młodzie — to jego zupełne przeciwieństwo: szalony, biegał tylko po osiedlu i puszczał te petardy. Babka przychodziła do mnie poskarżyć się, że Darek źle się do niej odnosi. No to zebraliśmy się z przewodniczącym komitetu i mówimy: „Czy tak całe życie spędzisz? A jak narobisz sobie kłopotów, to kto cię z nich wyciągnie? Ojca przecież nie masz”. Próbowaliśmy rozbić te skorupy, ale daremnie. Przewodniczący nawet kieszonkę mu przepatrzył, czy nie ma w nich tych petard. Ustaliliśmy, że Darek będzie się u mnie codziennie meldował po lekcjach. Jakiś czas przychodził i rozmawialiśmy. Najczęściej zdawkowo, co słychać, bo jak czytelnik, wypożyczają książki, to nie ma warunków. Potem przestał przychodzić. Unikał mnie.

Dlaczego Darek powiesił się — tego bibliotekarka nie wie. Podejrzewa, że tylko chciał nastraszyć.

— Szkodny był chłopczyk — opowiada dozorczyń. — Raz to mnie tak przestraszył, że mało co zawału nie dostałam. Wchodził ci ja do piwnicy, żeby schody pozamiatać, patrzył, ciemno wtedy było, a tu w kącie steropian — leży i jakiś tłumok na nim. Ruszam nogą, a tu ktoś się rusza. To się przerażam i lecę na górę po sąsiadkę. Przychodzą z latarką, a tu faktycznie: steropian, na nim jakiś stary koc, a obok teczka. Patrzymy: zeszyty Sidorczyka. To Darek tam spał. Skrytkę sobie zrobił na wagary. Ja to myślałam, że duży wpływ miała babka. Rok siedziała, ale teraz ciągle wyjeżdżała do siebie w chełmskie. Nie chciała z tymi chłopcami być. I żądała Bóg wie co. Ciągłe jej pieniądze brakowało. Jak czuła, że przyjdą alimenty albo zapomoga, to przyjeżdżała. Powiem pani jeszcze, że Mirka mi żal. Jest załamany. Mówi, że to wszystko przez niego. A ja nie wierzę, że on bił Danka. Przecież to taki nadzwyczaj spokojny chłopak. Raz to wiem na pewno, że go złał, ale tylko tak, że krew puściła się Dankowi z nosa.

Pod kłosem „Ruch” kręci się tłumek powracających z pracy. Pytam o Danka.

— Proszę pani, jak teraz wynikała ta tragedia, to się chłopakiem interesują i każdy łatwo przyznaje się do pomo-

cy — słyszę w odpowiedzi. — Niech się pani zapyta, kogo on naprawdę obchodził? A weźmy innych, w wieku trzynastu-szesnastu lat. Wysiadają na ławkach, po piwnicach, bo niby gdzie mają pójść. Miał być klub dla młodzieży, w starej kotłowni, ale władze zdecydowały, że zamiast klubu dla młodych będzie tam klub dla zbawidowców. To niech się potem nikt nie dziwi, że z młodzieżą coś się dzieje. Znieczulica, pani, wielka.

— Była pani na pogrzebie?

— Pani, co to za pogrzeb! Babka zawiozła go gdzieś pod Chełm, żeby kolo matki leżał. A tu nawet wyprowadzenia nie było ani księdza. „Nyska” przywieźli trumnę z Puław, bo tam robili chłopakowi sekcję. Obok czekała już druga „nyska”. Trochę młodzieży przyszło, sąsiadki. Raz dwa przelożyli ciało z „nyski” do „nyski”, o tu, na tej szosie pod blokiem.

— Życie nasze ciężkie — płacze stara kobieta w chustce na głowie. — Kryśka w Rosji urodzona, w Żytomierskim. Chorowała ciężko, ja w kolchozie za kilo żyta pracowała, żeby dziecko uchronić. Mąż mój wziął i zapępał się. Samotna ja była jak ten palec. Wreszcie, jak Kryśka siedem lat było, ja do Polski wróciłam. Kryśka do polskiej szkoły poszła, potem do gimnazjum. W dziesiątej klasie do Rzeplina pojechała, do pegeeru, żeby zarobić sobie. Tam tego Bronka spotkała. On straszny panem liczył się, bo on wojskowy. Kryśka fest czepił się. I pobrali się. Jak Mirek urodził się, to on krzyczał, że to debil. Tak w o-czy jej pluł. Jak Darek — to znowu że nie jego syn. Taka swolocz. Mój Boże kochany, jak on to moje dziecko poniewierał.

— Przychodził w nocy, pijany, i przystawiał miennie broń do głowy — mówi nerwowo wysoki chłopak. — Żeby pani go widziała. Wyglądał jak potwór. Ohydny, gruby, zwyrodnialec jeden. Ograniczył się do tego, że mnie spłodził. Wie pani, że on nigdy nie wziął mnie na ręce?!

— Z tego choroba wzięła się — opowiada dalej staruszka. — Raz Kryśka z dziećmi do mnie przyjechała. Akurat pranie robiłam. „Kryśko, mówię, do rzeki pójść i bieleinę przepłukać”. A jej jakos tak dziwnie zaczęły rozlatywać się. Chodzi po mieszkaniu w tę i z powrotem, miejsca spokojnego nie znajduje. To ja zatrwożyła się, pani. Bieda jaka na głowę padła czy co? Bieda wielka była. Kryśka w Abramowicach leczyła się kilka razy, a ja dziećmi

opiekowała się jak mogła. I po co mi jeszcze żyć na tym świecie? — staruszka wyplakuje głośno to pytanie do losu. — Ciężko było dogodzić. Chciał Darek spodnie modne, to chodziła ja po wszystkich sklepach, ale takich, jak on — sobie wymarzył, nie znalazła. Ja chciała mu dogodzić z tymi spodniami. Czuć było, że on nie w porządku, że nerwy ma zruśzone. Nie ma dziwu: niczego dobrego od maleńkiego nie napatrzył się. Dokuczał mi. Przygadywał. W poniedziałek taki był nie-spokojny. Budzę go: „Zabieraj się do szkoły, siódma już”. A on nie wstaje. „Gadasz i gadasz” — mówi mi. Jedzenie też nie zamarto czeplalo się go. Od najmłodszego na moich rękach wychował się, ale stary człowiek to, wie pani, grat dla młodego. Co to się stało, pani, co się stało?!

— Ja powiem — wybucha Mirek. — To moja wina. Przyszedłem z praktyki i zobaczyłem, że piarze tenisówki w kuchni. Mówiłem, że tam za mało miejsca, nachlapie. No i pokłóciłem się. Zlałem go. Stłukłem. Za to, że pytał o babci, nie mówił, gdzie wychodzi, wracał głośno, za te petardy...

— Co było dalej?

— Poszedłem na kurs jazdy. Wróciłem kolo osiemnastej. Otworzyłem drzwi kluczem, wlałem wodę na herbatę i zapaliłem światło w pokoju. Wtedy go zobaczyłem. Myślałem, że to wygłup. A on leżał i nie poruszał się. Zobaczyłem pętlę. Nie była nawet mocno zacisnięta. Powiesił się na pasku od kimona. Przynocował go do rury od centralnego.

Chłopak chowa twarz w dłoniach. — Zrobiłem mu sztuczne oddychanie. Usta-usta — wymaca z siebie szybko. — Dmuchałem i dmuchałem, ale czy taki debil jak ja umie to robić?! Tylko niech się pani nie lituje. My nie potrzebujemy żadnej litości!

— Nie lituję się. Tylko nie mogę patrzeć, jak się zadreżasz. To nie twoja wina, że się powiesił.

— Wie pani co? Myślałem, że Darek jest twardziel. Taki, co to go nim spływa. Po prostu się nie rozumieliśmy. Gadaliśmy czasem, ale nie wiedziałem, jaki jest naprawdę. Dlaczego się nie starałem?...

— Chciał być rozumiany, akceptowany, kochany. Jak każdy z nas. A był tylko samotny. Z tym trudno żyć — mówię. Ale nikt mnie nie słucha.

PS. Imiona i nazwiska postaci zostały zmienione.

POLSKI

linii kolejowej łączącej Górny Śląsk z Gdynią. Konsekwencją takiego poglądu było to, że KPP traktowała Gdańsk jako miasto niemieckie!

Ta błędna koncepcja w zakresie problemów polsko-niemieckich znalazła jakieś wymowne stwierdzenie w połowie 1933 roku: „Jeśli przedtem gnębiona, wynaradawiana, wypędzana ze swoich siedzib była ludność polska, to dziś polska hańsata gnębi, polonizuje i wypędza ludność niemiecką. Setki tysięcy Niemców, od dziesiątków i setek lat osiadłych na Górnym Śląsku i w krętarzu, zostały wyparte poza granice Polski”.

Partia głosiła nadal hasło walki „o samookreślenie się Górnego Śląska i Pomorza, aż do oderwania się od Polski”. W stosunku do Gdańska komuniści wypowiadali pogląd o swobodnym przyłączeniu się miasta do Niemiec.

Oczywiście, wszelki komentarz jest tu zbędny, nawet wtedy, gdy komuniści francuscy podobnie wypowiadali się w kwestii Alzacji i Lotaryngii, i wtedy, gdy stanowisko komunistów polskich uległo w wymienionych kwestiach modyfikacji w połowie lat trzydziestych, kiedy zwrócili uwagę na

niebezpieczeństwo zagrożenia ze strony Niemiec faszystowskich polskiego bytu państwowego.

Komuniści w ostatnich latach II Rzeczypospolitej włączyli się aktywnie do wielu akcji o charakterze patriotycznym, np. uroczystości odzyskania niepodległości, KPP nawiązała do tradycji rządów ludowych Daszyńskiego i Moraczewskiego; włączyła się do obchodów 75. rocznicy powstania styczniowego; przypominała o 120. rocznicy powstania kościuszkowskiego; radykalnej zmianie uległ także pogląd, dotychczas błędny, wobec armii polskiej (np. przy jednoczesnym krytycyzm stosunku do polityki wewnętrznej i zewnętrznej ówczesnych władz polskich). Symbolem tej zmiany, ewolucji poglądów w kwestii narodowej i niepodległości, jest Marian Buczek i jego śmierć na przedpolach Warszawy w 1939 roku.

Sytuacja polskich komunistów znacząco się skomplikowała po rozwiązaniu partii, mimo że podjęto jeszcze w 1938 roku pewne inicjatywy, które miały doprowadzić do odrodzenia się ruchu w nowym kształcie organizacyjnym. Jeszcze bardziej uległa skomplikowaniu sytuacja po podpisaniu układu Ribbentrop — Molotow 23 sierpnia 1939 roku i, następnie, po wstąpieniu Armii Czerwonej w granice Rzeczypospolitej 17 września tego roku. Padły

wtedy, jakie znamienne, słowa Molotowa o Polsce jako ułomnym tworze traktatu wersalskiego, a Niemcy traktujące jako państwo „dające do pokroju, posadzające o agresywne zamiary Anglię i Francję. Były to oceny akasowe, amoralne i rozniżające się z prawdą”.

Armia Czerwona w 1939 roku zajęła 51,6% powierzchni kraju, którą zamieszkiwało 11 685 400 obywateli, co stanowiło 34% ogółu mieszkańców Polski. Przy tym nie ma uzasadnienia teza o przewadze ludności białoruskiej czy ukraińskiej na zajętych terenach. Z danych powszechnego spisu z 1931 roku wynika, że jedynie w województwach poleskim, wołyńskim, stanisławowskim i tej części lwowskiego, która włączona została do Związku Radzieckiego w 1939 roku — przewagę posiadała ludność białoruska i ukraińska. Natomiast w województwach: białostockim, wileńskim, nowogródzkim oraz w tarnopolskim — przewagę posiadała ludność polska. Gdy dodać do tego Lubelszczyznę (która pierwotnie miała znaleźć się w sferze wpływów radzieckich), gdzie Białorusini, Ukraińcy i Rosjanie stanowili 3,7% — to fałszywość wyżej wspomnianej tezy okaże się jeszcze bardziej oczywista.

NAUKOWE opracowanie H. Cima-ka niezwykle ważnego problemu w koncepcji politycznej Komunistycznej Partii Polski, jej stosunku do państwa II Rzeczypospolitej, stanowi pierwsze tak inicjalne i zarazem pogłębione analizy faktów — studium o tym

nurcie politycznym. Autor dostrzega szereg elementów ewolucyjnych tej koncepcji, szczególnie w drugiej połowie lat trzydziestych, w okresie frontu ludowego.

Błędne oceny i interpretacje polskich komunistów w sprawie tak delikatnej jak niepodległość, patriotyzm, narodo-we suwerenność państwa polskie, wreszcie wizja państwa socjalistycznego i rewolucja socjalna, były nie tylko, a może przede wszystkim, wynikiem błędnych ocen i stanowiska w tych kwestiach Międzynarodówki Komunistycznej. Na wiele pytań dziś jeszcze nie jesteśmy w stanie dać uargumentowanej odpowiedzi z braku lub niedostępności źródeł. Na inne — z uwagi na to, że prawie „wszyscy członkowie działacze KPP nie dotarli do narodzin Polski Ludowej przede wszystkim z powodu represji stalinowskich”. Chociaż praca ta skłaniać może do wielokrotnych refleksji, chociaż nie każdy osąd może być przy-mowny, to książka ta stanowi ważny składnik w dążeniu do pełnego lub pełniejszego poznania losów tej partii i ludzi z nią związanych.

1) Henryk Cimek: KPP wobec drugie-j Rzeczypospolitej (1918—1938), Warszawa 1988, Akademia Nauk Społecz-nych PZPR, str. 179.

2) H. Cimek, L. Kierszyński: Ko-munistyczna Partia Polski 1918—1938, Warszawa 1984; H. Cimek: Zjednocze-nie Lewicy Chłopskiej „Samopomoc” 1928, 1931, Lublin 1973; tenże: Koncepcje i problemy sojuszu robotniczo-chłopskiego w ruchu rewolucyjnym w Polsce (1918—1938), Praca habilitacyjna, Warszawa 1980.

JAK się znalazła w historii teatru polskiego — między epoką Wojciecha Bogusławskiego i Heleny Modrzejewskiej — dokładnie nie wiadomo. Bogusławski zakończył swą aktorską karierę w roku 1827. Modrzejewska zaczęła swoją w roku 1868. Przedzielilo ich 40 lat. To był jej czas. Wielkiej aktorki, niepospolitej indywidualności.

Są informacje, że wielką przygodę z teatrem rozpoczęła od pracy w prowincjonalnym zespole Karola Banera, nieobcego Lublinowi, jego społeczności i murom Starego Teatru w naszym mieście. Wybitny teatrolog — Stefan Kruk — w swej książce „Życie teatralne w Lublinie” nie potwierdza tych informacji.

Urodziła się w Puławach. To pewnie. Pod datą 14 IV 1803 r. w księdze ślubów i urodzeń miasta Puław widnieje zapis: „Eleonora (jedno imię) z ojca Grzegorza Zuczkowskiego, z matki Anny z Gołbiewskich”. Kim byli jej rodzice? Nie wiadomo. Legenda głosi, że jej matka była przekupką na warszawskiej Pradze.

LEONTYNA ZUCZKOWSKA - HALPERT. Gdy zmarła w 1895 roku, warszawski krytyk Aleksander Niewiarowski pisał: „Ledóchowska i Halpertowa — to dwie najświetniejsze w dziejach sceny naszej gwiazdy, po których zejściu została ciemność i próżnia bardzo długa [...], a do których na koniec po wielu latach zbliżyła się poniekąd jedna tylko, żyjąca dotąd artystka — Helena Modrzejewska”.

Historia, życzliwy los, sława międzynarodowa wyniosła pamięć o Modrzejewskiej na wyżyny. Mniej przychylny był czas i fortuna dla pani Leontyny. Pamięć o niej została niemal doszczętnie zatarta. Godzi się ją przywołać, tym bardziej że ona „stała” — GWIAZDA Z PUŁAW.

Jej debiut na deskach warszawskiego Teatru Narodowego 12 kwietnia 1821 r. nie był zbyt udany. Zagrała w tragedii Corneille'a „Horacjusze”, w nie było jakim towarzystwie Wojciecha Bogusławskiego — Horacjusza ojca. Wkrótce potem jeszcze w dwu innych sztukach: „Cynnie” Corneille'a i w „Karykaturach” Goldoniego. Warto zatrzymać się przy tym debiucie. W owym czasie, aby znaleźć się na stałe w zespole Teatru Narodowego, trzeba było zagrać w trzech sztukach. To był obowiązujący sprawdzian. Rodzaj testu przydatności. Swoisty egzamin. Kto przezeń przebrnął, pozostawał w zespole, kto nie, musiał się pożegnać z myślą o angażu. Tak się kompletowało zespół 100 lat temu. Ten był w „Narodowym”, kto był dobry. A dziś? Ten jest dobry, kto jest w „Narodowym”. W 1989 roku warto zauważyć, że droga do podnoszenia poziomu teatrów może wiesć wcale niekoniecznie przez ich administracyjne likwidowanie.

Panna — jeszcze długo — Leontyna, zdaje się nie bez trudności przeszła tę pierwszą próbę, ale chyba nie wiodło się jej nadzwyczajnie, skoro przez dwa lata nie odnotowano jej nazwiska w recenzjach warszawskich. Czas zataić fakty. Nie wiadomo, czy opuściła Warszawę i jak chcą niektóre źródła, „zasłynęła w Lublinie” (Jan Tomasz Seweryn Jasiński: „Życiorysy aktorów” — Państwowy Instytut Sztuki), czy też w Warszawie pozostała kilka lat nie grając („Gazeta Warszawska”, nr 4 r. 1824). Pewne jest, że w 1824 r. znów wystąpiła na scenie Teatru Narodowego. Jej specjalnością będą role tragiczne. Jej atutem niewątpliwie uroda. „Młoda i w całym znaczeniu tego wyrazu piękna i urocza, obdarzona najwspanialszym organem, wyniosłej postaci i składnej, twarz rysów regularnych, i cudnie odbijających ze sceny, oczy duże, niebieskie, jasniejące ogniem młodości, wszystkim obdarzyła ją natura, co stworzyć może wielką artystkę”. (Kazimierz Władysław Wojcicki: „Warszawa. Jej społeczność w początkach naszego stulecia”. Biblioteka Warszawska 1874). Przez wszystkie lata scenicznej kariery uważana była za jedną z najpiękniejszych kobiet swej epoki.

Los aktorki zawsze był rywalizacją nie tylko artystyczną, ale i wręcz biologiczną. Piękna Leontyna miała groźną rywalkę w Józefie Ledóchowskiej, wielkiej tragicznej wcześniejszej generacji, która nie oddawała pola dobrowolnie. Po premierze tragedii Ignacego Humnickiego „Edyp” w jakiej Zuczkowska podbiła publiczność niekonwencjonalną grą, za którą nagro-

dzono ją niespotykaną burzą braw — Ledóchowska, rozdrażniona i poirytowana tym aplauzem dla młodej rywalki, miała krzyknąć: „A pókiż tego będzie!!!” (Wł. Krogulski: „Kurier Teatralny” nr 28 r. 1901).

Można się i uśmiechnąć nad mało-śkliwość zacytowanego okrzyku. Ale może należy go odebrać jako sygnał nowego? Nowego stylu aktorskiego, nowych dróg, na które wstępowała jeszcze nieśmiało młoda Zuczkowska? Z czasem, gdy już okrzepnie artystycznie, zwiąże się z jej nazwiskiem nowy styl gry w Teatrze Narodowym. Taki, jaki dzięki wielkiemu aktorowi francuskiemu, Talmie, dawno już zatryumfował w Paryżu.

Jako się rzekło — siłą jej była tragedia. Wolter, Corneille: „Cyd”, „Andromacha”, „Fedra”, „Horacjusze”, „Cynna”, „Śmierć Pompejusza”; Schil-

waro pamiętać. Gdy wpada w euforię, żąda od swych artystów ekstazy, gdy ogarnia ją rozpacz, potrzebuje zabawy. Niełatwo być twoją publicznością, publicznością.

W maju 1830 r. Zuczkowska postanowiła wyjechać do Paryża. „Dla doskonalenia siebie”, jak pisała do dyrektora teatru, prosząc o rozwiązanie umowy. Ale może skrycie marzyła o zdobyciu obcej publiczności, gdy pisała do swego dyrektora te słowa: „Czyli z tego przedsięwzięcia wielkie dla Teatru Narodowego wynikną korzyści, to jest jeszcze ukryte i niepewne”. Można zrozumieć jej oniesmielenie w tej sprawie: myśl o podboju teatralnego świata mogła się wydawać zuchwałą. Na tę zuchwałość zdobyła się dopiero Modrzejewska w pół wieku później. Nie wiadomo dlaczego, ale Zuczkowska zamiar zmieniła. Do wyjazdu na

wieczem. Takim oto niepowodzeniem gestem Modrzejewska wyraziła swój szacunek dla pani Leontyny. A trzeba wiedzieć, że ta, po wycofaniu się ze sceny, nieprzerwanie interesowała się życiem teatralnym stolicy, a co najważniejsze, niewygasła jeszcze wówczas sława sprawiła, że jej opinie o spektaklach i aktorach traktowano jak wyrocznię. Gdy po pierwszym występie Modrzejewskiej w Warszawie w 1868 roku powiedziała: „Ależ ona zaczyna tym, na czym ja skończyłam!!!”, znaczyło, że swym artystycznym autorytetem wsparła rodzący się wielki talent. Zuczkowska dała swej młodej następczyni artystyczne błogosławieństwo. Jakże się w tym geście nie pomyliła.

Dziś, gdy tak wiele się mówi o potrzebie elit w społeczeństwie, do których, choćby na szarym końcu, ale i świat aktorów bez zbytecznego uchybienia dąłoby się wpasować, iza się w oku kręci, gdy pośród recenzji, opisów rol znajduje się uogólnienia szersze. Oto próbka recenzji z „Gazety Warszawskiej” (z 28 sierpnia 1832 r., opatrzone kryptonimem „X”) po powrocie panny Leontyny do Warszawy z dwuletnich występów we Lwowie: „Ktokolwiek umie cenić wpływ zbawienny sztuk pięknych na ogólne ukształcenie i na pól towarzyski, tego każda pomysłność, każdy postęp sceny narodowej cieszyć powinny. Takie uczucia wzbudza powrót na tę scenę panny Zuczkowskiej. Same powierzchowne powaby, albo sam talent bez tego uroku, wabią już i zajmują widzów, lecz kto obie te zalety w sobie łączy, kto się tak żywo przejmując charakterem, który przedstawia, że dzielić każe uczucia, jakimi na scenie jest przejęty, ten musi wszystkich zajmować i zachwycać”.

Będziemy sprawiedliwi. Kwestia inżynierii elit to nie tylko kwestia łaskawego przyzwolenia władzy. To także wzajemne kierowanie się przez nie same. W zapiskach biograficznych naszej bohaterki pozostało wspomnienie jej ślubu z Borysem Halpertem (literatem i przez pewien okres dyrektorem Teatrów Warszawskich). 24 listopada 1830 roku w kościele Reformatorów odbyła się ceremonia ślubna. Kilka dni później na afiszu teatralnym widniało już nazwisko LEONTYNA HALPERT. Artystkę wchodzącą tego wieczoru na scenę witaly huraganowe brawa.

Pani Leontyna była drugą żoną Borysa Halperta. Pierwsze jego małżeństwo trwało 4 lata. Historia milczy o intymnych kulisach. Pierwsza żona — Józefa Chojnacka — dostała pomieszania zmysłów i zmarła, jak głosiła plotka, z zazdrości o Zuczkowską.

Rozstanie ze sceną nastąpiło w r. 1851. Trzeba było zorganizować kilka pożegnalnych przedstawień — wszystkie bilety były wyprzedane. Po ostatnim tysiąc osób wypełniło sale Redutowe, gdzie odbyła się maskarada. Dochód z niej podarowano artystce. O pierwszej po północy dźwięk trąb przywołał wszystkich na widownię Teatru Wielkiego. Tam pożegnano artystkę. Po 30 latach pracy. Dla potomnych odnotuj, że Anno Domini 1987 byłem w wojewódzkim mieście Lublinie na jubileuszu 30-lecia pracy aktora, któremu w nagrodę za tę pracę miejscowy wojewoda włożył na głowę wianuszek z kolorowej bibułki. Li tylko.

Kończąc tę pewnie przydługą opowieść o wielkiej artystce polskiej sceny. Nazwałem ją na własną odpowiedzialność, czy raczej nieodpowiedzialność GWIAZDA Z PUŁAW. Czuję tandetność tego pomysłu. To tak, jakbym do antycznego kostiumu Medei czy Fedry przypinał rewiowe cekiny i błyskotki. Ale niech już tak zostanie. To także „duch” naszej epoki. Do której z premedytacją powracałem. Na frontonie świątyni Sybilli w Puławach wyrzyty jest napis: „PRZESZŁOŚĆ PRZYSZŁOŚCI”. Trudno tu żyć i nie wziąć sobie tego do serca, gdy wokół tyle tandetnych hasel na tandetnych planszach ociekających z lichej farby, która nigdy nie wytrzymała nawet od „zakrętu” do „zakrętu”.

HENRYK SOBIECHART jest aktorem Teatru im. J. Osterwy w Lublinie. Jego pozasceniczną pasją (mówi o niej: „ważniejsze to czasami niż zagranie paru ról”) jest odkrywanie, dokumentowanie i popularyzowanie teatralnej przeszłości Lubelszczyzny. Zarliwości, z jaką to robi, dowodzi powyższa publikacja.

„WSZYSTKIM OBDARZYŁA JĄ NATURA, CO STWORZYĆ MOŻE WIELKĄ ARTYSTKĘ”

GWIAZDA Z PUŁAW

Henryk Sobiechart

ler: „Dziewica Orleańska”, „Intryga i miłość”; Racine: „Fedra”, „Andromacha”; Desdemoną w „Otelu”, królową w „Bolesławie Śmiałym” (ale jeszcze nie Wyspiańskiego — Hoffmana); w „Edypie” Humnickiego; „Barbara Radziwiłłówna” — Felińskiego.

Takie właśnie tytuły miały w Warszawie jej czasów po kilka przedstawień. Szeroką publiczność preferowała teatralną konfekcję: melodramaty, komedio-opery, jednoaktowe komedijki, komedie salonowe. Desperacja dyrektora teatru, by bronić ambitnego repertuaru, prowadziła do śmieszności — tragedię Andromachy czy Fedry „atrakcyjniał” przerywnikami baletowymi. Pustki w kasie kazały się ugiąć przed gustami publiczności. Ale Zuczkowska potrafiła się znaleźć i w tym wymuszonym, łatwiejszym repertuarze. Choć czasy były takie, że nawet Fredro był zbyt subtelny. Miała Zuczkowska sukcesy w „Mężu i żonie” i w „Ślubach panienskich” (Klara). Ale tęskniła do ról tragicznych.

Jest w tych tęsknotach tragizm aktorki szamocącej się między tym, do czego czuła się powołana, a tym, co spełniać musiała. Po latach zwierzyła się w liście do Józefa Korzeniowskiego: „Jeżeli Talia mi przyjaciółką, to Melpomena siostrą; tamtą pragnę posiadać i przyswoić sobie; tę zaś, daną mi od natury, cierpieć i znosić muszę”. Bogać tam, gdyby nasza bohaterka przeżyła rozdarcie między Wolterem a Fredrą. Największą kasę w Teatrze Narodowym robiła melodrama „Zoko” („Mała brazylijska przedziwne na scenie wyprawiająca brewierie”). Tak, tak, szanowna publiczność popołudniowych niedzielnych sjęt telewizyjnych w dwu odcinkach naraz!!! Ma się ten rodowodzik!!!

Tylko na krótko czas Powstania Listopadowego zmusił teatr do mówienia godnego. Gdy powstanie upadło, społeczeństwo, pogrążone w rozpacz i zwątpieniu, wróciło do niewyszukanych upodobań. Podczas Wiosny Ludów 1848 r. było inaczej. Publiczność bojkotowała wszelkie rozrywki, także i teatr. Gdy wszystko się skończyło, żądała od teatru przede wszystkim tego, by ją bawił. W r. 1837 wydrukowano w jednej z gazet warszawskich „Próbki nowej encyklopedii teatralnej”. Było hasło — „Tłum”. Z objaśnienia — „Stugłowy potwór, który przerażającym swym krzykiem zagłusza mniemanie dobrego smaku”.

Historię teatru piszą nie tylko artyści. Pisz je również widzowie. O tym

podbój Francji nie doszło. Sława jej wybiegła jednak poza granice polskie.

W berlińskim „Magazin für Literatur des Ausland” z 13 III 1837, w artykule pt. „Leontyna Zuczkowska” pisało o niej z największym uznaniem, ubolewając, że nieznaną języka polskiego w Niemczech, nie pozwalała zaprosić tej wielkiej artystki do teatrów niemieckich, „aby nam i w Niemczech przedstawiła Schillera [...]”, albowiem właśnie obce przejęcie się rolą niemiecką pokazałoby nam w niej może zupełnie nową stronę”.

Bardziej bezinteresowny był autor artykułu w berlińskim „Nossische Zeitung” z czerwca 1837 r.: „Wspominana już wielokrotnie w zagranicznych piśmiach z największymi pochwałami, sławna, artystka polska, pani Leontyna Halpert, z domu Zuczkowska, w każdym wzbudza większy, do najwyższego zespołu wzrastający podziw... Jakżeby życzyć wypadało, aby ta artystka, posiadająca europejską sławę, i inne kraje zwiedziła”.

Pisała o niej również prasa francuska. Dziennik „Chronique de Paris” stawiał ją na równi z wielką francuską gwiazdą swych czasów, panną Mars. Trudno więc nie uwierzyć recenzentowi „Gazety Warszawskiej”: „Piszący miał sposobność uwielbiać pierwsze talenty europejskie i sumiennie zapewnić może, że nikt nie przewyższa naszej Halpert. Stawia się ona na równi z pannami Mars i Duchenois razem, z tym jeszcze dodatkiem, że znacznie jest młodszą od tamtych dwóch” („Gazeta Warszawska” nr 173 r. 1837).

Może bardzo było trzeba takich opinii, aby wśród polskich aktorów ugruntowało się przekonanie, „że i oni nie gęsi”, aby dać odwagę Helenie Modrzejewskiej?

Jest wiele poszlak, które pozwalają łączyć te dwie aktorki. 1 listopada 1845 roku Leontyna Zuczkowska (już wówczas po mężu — Halpert) wystąpiła w tytułowej roli w dramacie Aleksandra Dumasa — ojca „Panna de Belle-Isle”. Grano go pięć razy. W dwadzieścia cztery lata później, 1 listopada 1869 roku sztuka pojawiła się znów na warszawskim afiszu, tym razem z Heleną Modrzejewską w głównej roli, która wznowienie to zainspirowała. Więcej. Z chęci uczczenia swej poprzedniczki, i tylko z tego powodu, zagrała jedynie pięć razy, tak jak Zuczkowska przed niespełną ćwierć-

LUBELSKA „BIAŁA PLAMA”

TRZECH
Z SZARYCH SZEREGÓW

Zbigniew Miazga

CMENTARZ przy ulicy Lipowej, pogrzeb lubelskiego plastyka Krzysztofa Kurzątkowskiego. Tu, i przy tej właśnie okazji, anoni-mowy telefoniczny rozmówca wyznaczył mi spotkanie. Znakiem rozpoznawczym miał być trzymany przez niego w ręku numer „Relacji”, w którym zwracałem się „do czytających te słowa o pomoc w wypełnieniu obrazu więziennego Lublina lat 1944—54”.

Po zakończonej ceremonii takie otrzymałem objaśnienie owej „konspiracji”:

— Krzysztof był jednym z nas, to znaczy harcerzem z Szarych Szeregów, żołnierzem AK z oddziału „Szarugi”, a po wyzwoleniu więźniem. Wśród tych, którzy przyszli go pożegnać, są ci, których pan poszukuje. Bo dla nas, pozostałych przy życiu, najczęstszą okazją do spotkań są właśnie pogrzeby. Niech się pan śpieszy, bo coraz ich więcej...

W KILKA dni później:

— Mielśmy więcej szczęścia niż inni nasi koledzy. Udało nam się uniknąć tortur, wieloletnich wyroków, zsyłki. Dlatego całą tę opowieść, choć prawdziwą, niech pan potraktuje jako wstęp do innych wspomnień. Ilustrującą nie dramaty, a raczej — zapamiętany przez kilkunastoletnich chłopców — klimat tamtych lat. I proszę: nazwiska naszej trójki prosimy zachować tylko dla siebie.

Takimi były warunki wstępne „Abisyńczyka” i „Smętka” z rocznika 1927 oraz dwa lata od nich młodszego „Wilka”. Łatwo wyliczyć, że dorosli w czasie wojny. Byli wówczas uczniami lubelskich szkół: mechanicznej, chemicznej i budowlanej. Jako przedwojenni jeszcze harcerze, bez wahania wstąpili do Szarych Szeregów, a gdy nastał czas — złożyli akowską przysięgę. Byli łącznikami, kolportowali prasę podziemną, rozlepiali ulotki, brali udział w akcjach dywersyjnych. Na wiosnę 43. „Smętek”, po najściu gestapo na jego szkołę, uciekł do „Szarugi”. Uczestniczył w podejmowaniu rzutów, także w akcjach bojowych m.in. w okolicach Bychawy, Osmolice, Samokłęk. W jakiś czas później do tego samego oddziału dołączył „Abisyńczyk”. W czasie, gdy partyzanci „Szarugi” walczyli z wycofującymi się, ale przeważającymi siłami niemieckimi, „Wilk”, który nie opuścił Lublina, był wśród wyzwalających miasto.

W ostatnich dniach lipca 1944 „Abisyńczyk” i „Smętek” ze swym leśnym oddziałem weszli do Lublina. Oddali broń, zaczęli sposobie się do cywilnego życia. Wkrótce jednak, zmobilizowani przez dowódcę, wyruszyli, wraz z kilkudziesięcioma innymi kolegami z partyzantki, w stronę siedleckich lasów. Tam bowiem formowana była dywizja, która — jak głoszone — pójść miała na pomoc walczącej Warszawie.

— Oszukano nas jednak — mówi „Smętek”. — Poszliśmy, ale w lasy koło Białej Podlaskiej. Miałem dokumenty, dzięki którym mogłem poruszać się bez kłopotu. W czasie pobytu w Lublinie dowiedziałem się o aresztowaniach akowców, skazywaniu na więzienie, zsyłkach na Sybir, także o egzekucjach. Gdy wróciłem do pułku, dowódcą był już Rosjanin. Również w wojsku zaczynało się wyłuskiwanie akowców. Nie było na co czekać...

„Abisyńczyk”:

— Również i ja zdecydowałem się na powrót do Lublina. Przełożonym motywowałem to zamiarem podjęcia przerwanej nauki. Rzeczywiście, wróciłem do szkoły. Ale gdy klasa zaczęła topnieć z powodu aresztowań, przysnąłem do „Zapory”.

„Smętek”:

— To trzeba wyraźnie powiedzieć: w lecie czterdziestego czwartego nie było partyzantki. Bo i po co? Niemcy odrzucając zostali za Wisłą, a ten, kto chciał się bronić, szedł do wojska. Rosjan, o ile się ich nawet nie kochało, uważaliśmy za sojuszników. Zresztą samobójstwem byłoby występowanie przeciwko nim, obecnym nie tylko w miastach, ale i w najmniejszych wioskach. Z czasem, gdy zaczęła się nagonka przeciwko „zapłutemu karłowi reakcji”, gdy jedni z naszych grali w więzieniu, a inni grali w domu, ludzie zaczęli szukać ratunku u swoich — bo u kogo by innego — dowódców z partyzantki.

„Abisyńczyk” po dwumiesięcznym (marzec — kwiecień 1945 r.) pobycie „bez jednego wystrzału” w „Zapory” przyjechał na przepustkę do Lublina u „Zapory” kolegę trafił na „kociol”. Dowodzący nim „kociol” a wyrażanie sentymentalnych rysach. „Abi-

syńczyk”, po przeniesieniu w areszcie przy ul. Krótkiej, wypuszczony został w charakterze „wabia” na Krakowskie Przedmieście. Wiedząc już, że dowodów przeciwko niemu nie ma, czując też bliskość lufy pistoletu postępującego za nim funkcjonariusza UB, zrezygnował z prysnięcia w najbliższą bramę. Na czas śledztwa, w sumie czteromiesięcznego, osadzony był we wspomnianym areszcie przy ul. Krótkiej, a później w Zamku.

„Kociol” organizowany był parokrotnie również w mieszkaniu „Smętki”. Jako że udawało mu się uniknąć aresztowania, „w zastępstwie”, na kilka miesięcy, zabrany został jego ojciec. „Smętek”, korzystając z amnestii, pod koniec 1945 r. ujawnił się. Mimo tego nie uniknął aresztowania. Przetrzymany był w piwnicy gmachu przy ul. Spokojnej (obecnie 22 Lipca), w którym dziś znajduje się szpital MSW. Z braku dowodów został po kilku tygodniach zwolniony. Na przesłuchania jednak wzywano go przeciętnie raz na kwartał, aż do 1956 r.

I ostatni z trójki — „Wilk”. W 1949 r. skończył swoją „budowlankę”, w tym samym roku przyjęty został na KUL, na historię sztuki. Podjął też pracę w kuratorium jako inspektor do spraw kultury. Był świadomy swojej „przeszłości”, ale nie wierzył, by ona kogokolwiek mogła obchodzić. Akowska, wojenna przeszłość 15-letniego chłopaka.

A JEDNAK...

— Było to w sierpniu 1950 roku — wspomina. — Na ulicy podszedł do mnie milicjant. Poprosił o dowód. I w tym momencie pojawił się UB-owiec. Do milicjanta: „Dziękuję, sierżancie”, a do mnie: „Idziemy, tylko bez kawałów”. Osadzony zostałem w areszcie przy ul. Krótkiej, tam gdzie znajduje się poliklinika MSW. W zatechłym lochu, bez okna, znajdowało się pięć kilkunastoosobowych cel, w tym jedna kobieca, w której w tym czasie



Fot. Waldemar Stępień

trzymano harcerki i studentki KUL. Była też cela dla UB-owców, osadzonych tu za drobne przewinienia na 3—10 dni.

Przesłuchanie zaczęło się od pisania przez mnie życiorysu. A potem polecenie: „Wyjdź na korytarz i czekać przed drzwiami”. Czekalem tak tydzień,

platając się po korytarzu. Znalazłem łazienkę z wanną, w której był węgiel. Przytączyłem jakieś drzwi, położyłem na węglu i miałem jakieś takie spanie. Kolejne przesłuchanie znów zaczęło się od pisania życiorysu. Miałem to szczęście, że uniknąłem losu innych współwięźniów: bicia, sadzania na nodze od stołka.

Całe wyżywienie to wydawano dwa razy dziennie lura nazywana kawą, ćwiarteczka ohydnych chleba i miarka rzadkiej zupy. Paczki dostarczano w zależności od widzimisię strażników. Często nie przyznawano się przed naszymi rodzinami, że my tu siedzimy. — „Nie było i nie ma takiego” — brzmiało jawne kłamstwo. Moi najbliżsi długo nie wiedzieli, co się stało. UB-ecy „nie mieli mnie na stanie”, zaś w pracy odpowiadano, że gdzieś wyjechałem służbowo, a przecież wyrzucili mnie już: „wobec niepełnienia przez Ob. obowiązków służbowych od dn. 18 sierpnia 1950 r. z powodu zatrzymania przez Władzę Bezpieczeństwa Publicznego Dyrektora Okręgowa Szkolenia Zawodowego rozwiązuje z Obywatelom stosunek pracy...”

Upokarzające było korzystanie z ubikacji. Gdy zostało się wypuszczonym z celi, należało pędzić biegiem, a potem miało się nad sobą — nie było drzwi — wrzeszczącego strażnika: „prędzej, prędziej!” A wprost tragedią, tu w areszcie, jak i później na Zamku, były żołądkowe niedyspozycje. Z wymysłami „klawisza” („nie nie robicie, tylko jecie i sracie”) szły w parze okrutne nieraz „nauczki” ze strony współwięźniów.

Na ogół jednak panowała w celi — mówię tu tylko o areszcie przy Krótkiej — solidarność. Zrobiliśmy podkop do sąsiadującej z naszą, celi UB-eków; jeden z kolegów, wkładając rękę w tę dziurę, wróżył im przy pomocy zrobionych przez siebie kart; a oni rewanzowali się papierosami, gazetami. Podpalanymi gazetami walczyliśmy z pluskwami pożerającymi nas żywcem. Na wszy już nikt nie zwracał uwagi. Bicie ich odbywało się niejako automatycznie, bez przerywania rozmowy.

Kto siedział? Z imienia i nazwiska zapamiętałem majora Tadeusza Markiewicza. Aresztowany był jeszcze w czterdziestym czwartym. Wraz z grupą innych oficerów, z łopatom w rękach, aby nie wzbudzać podejrzeń, doprowadzeni zostali na lotnisko w Świdniku. A stamtąd polecili do Moskwy. Markiewicz, osadzony w jednym z łagrów, z powodu głodu zaczął tracić wzrok. Trafił do szpitala. Ze wzruszeniem opowiadał, że opiekujący się nim lekarz sprzedawał własną obrączkę, by mieć pieniądze na zakup dla niego lekarstw. Markiewicz, po odesłaniu go do Polski, trafił zaraz do naszego aresztu, a później na Zamek. Ten starszy pan, o pięknym głosie, wspaniale recytujący, potrafił zachować godność, nawet zbierając niedopalki wyrzucone przez strażników.

Siedział z nami personalny z Komitetu Powiatowego PPR; były nauczyciel, jeszcze przedwojenny komunista i zatwardziały — jak sam mówił — ateista, który tu zaczął się modlić. Był ksiądz katolicki oraz duchowny jakiegoś innego wyznania. Pamiętam całkiem załamanego porucznika KBW; tu, w lochu, dogadał się z dowódcą jednego z podziemnych oddziałów, że właśnie jego oddział pacyfikował. Zaprzyjaźnił się: wciskając się w kąty celi, czepiali do siebie całymi dniami. Był wreszcie „cudak”, nazwany tak od zdarzenia, o którym któregoś dnia opowiadał. Wyglądało to mniej więcej tak:

Mieszkał w jakiejś podlubelskiej wsi. Żona (on miał 27 lat, ona 25) została sparaliżowana. Przyjechali do Lublina, zresztą przywiezieni przez szwagra, który pracował w UB, żeby zamówić kolejkę do lekarza. Przyjeździ mieli być dopiero po południu. Udali się więc do katedry, żeby pomodlić się przed — wtedy już uznanym za cudowny — obrazem Matki Boskiej. Po spowiedzi zaniósł ją na plecach przed obraz. I wtedy — jak nam opowiadał — żona krzyknęła i o własnych siłach stanęła na nogi. W katedrze podniósł się krzyk: cud, cud! On, nie w ciemności, w drodze i do autobusu. Na wsi nie dało się tego ukryć. Wkrótce przyszli po niego... Na to odzywa się śledzący wraz z nami uczeń szkoły rolniczej: „A mnie zamknęli za ciębie; w liście do rodziny opisałem ten właśnie cud”.

W czasie karcianych wróba „Wilki” wychodziło, że więzienie odwrócone. Wróba te zdawał się potwierdzać mizerny postęp śledztwa. Ale pewnego grudniowego dnia powieszony został na Zamek. Po zrobieniu wrzeszczącej fotografii, adwokat odebrał palec, rozpoczął awytkę tu wędrowkę przez trzy posłomy baszaty. Wtłoczony pomiędzy podobnych jemu, ale także kryminalnych, walczyli Niemców. W czasie widzenia z matką, po spokojnej informacji „w domu wszystko w porządku”, tym samym tonem podana wiadomość, że — tu wymieniła jego imię, ale jak trzeciej osoby — „przyjeżdża na święta Bożego Narodzenia”. Sprawdziła się karciana wróba — więźnienie „odwróciło się”. Nie zapomniano jednak o nim całkowicie, przynajmniej w Lublinie. W jakimś momencie, na ulicy, znalazł się pomiędzy dwoma „pamiętajkami”. Od jednego z nich ułyszał: „Co, wypuścili? Radzę wyjechać, bo zawsze coś się znajdzie”. Skorzystał z życiowej rady.

GDY był aresztowany, dawał się, bo jego wojenna konspiracja w Szarych Szeregach była „za Polką”, i była akurat na marcu jego 14—15 lat. Później dopiero zrozumiał, że zamknięto go to, żeby rozpoznać się strach.

POLEMIKI

„SPOTKANIE W PUŁAWACH”

W nawiązaniu do artykułu „Spotkanie w Puławach” („Relacje” nr 4 z dnia 9-15 luty 1989 r.) i zawartej w nim wypowiedzi prezesa GK ZSL w Żyrzynie kol. Mieczysława Rybaka, chciałbym sprostować dotyczącą mnie przykład działania I sekretarza KG PZPR w czasie wyborów do GRN.

Przedstawiony obraz działania jest nie tylko fałszywy, ale całkowicie odbiega od prawdy. Jedyną w tym wszystkim jest prawdą, że odbyliśmy posiedzenie komisji współdziałania, na którym to posiedzeniu mieliśmy się zastanowić nad sporządzeniem wspólnej listy proponowanych kandydatów na przewodniczącego GRN. I nie jest prawdą, że sekretarz KG PZPR w wyniosłym stylu zakomunikował o wystawieniu 3 kandydatów PZPR. Posiedzenie to rozpoczęliśmy od przedstawienia wszystkich radnych, ich dotychczasowej działalności i możliwości pełnienia — spośród nich — funkcji przewodniczącego, a następnie dyskutowaliśmy nad kryteriami wspólnej listy. [...] Było dla nas zaskoczeniem, że prezes GK ZSL widzi jedyną kandydaturę na przewodniczącego GRN: swoją osobę podpartą dwoma kandydatami spośród bezpartyjnych i PZPR. Na nasze propozycje, aby wybierać spośród 5 lub 6 kandydatów, reakcją prezesa GK ZSL było podważanie się od stołu obrad, a za nim pozostałych członków ZSL i trzaśnięcie drzwiami. [...] Oczywiście nie przeszkodziło to członkom komisji postanowić, po wnikliwej dyskusji, aby pod obrady pierwszej sesji GRN stawiać wybór przewodniczącego spośród 5 lub 6 kandydatów. Zobowiązano jednocześnie I sekretarza, aby w dniu następnym przedstawił prezesowi GK ZSL stanowisko członków PZPR. Na propozycję (6 kandydatów: 3 PZPR, 2 ZSL i 1 bezpartyjny) prezes ZSL nie wyraził zgody, gdyż poza swoją osobą kogośkolwiek jeszcze, spośród członków ZSL, nie widział i akceptował propozycję 5 kandydatów.

W artykule prezes GK ZSL podaje, że wyboru dokonano spośród 3 kandydatur, natomiast faktycznie wybierano spośród zgłoszonych 5 i wybrano członka PZPR, który wygrał zdecydowaną liczbą głosów. Należałoby się zastanowić, czym kierował się prezes GK ZSL, aby nie tylko walczyć o swoją osobę w okresie wyborów, ale i obecnie przedstawiać nie odpowiadające prawdzie fakty. [...] W tym miejscu należy nadmienić, że postawa prezesa GK ZSL, jako indywidualna, nie ma żadnego wpływu na naszą współpracę z całą organizacją ZSL, którą oceniamy jako bardzo cenną i pożyteczną. Świadczyć o tym mogą nasze wspólne posiedzenia obydwu instancji, których wspólne decyzje przyczyniły się w okresie ostatnich 7 lat do rozwiązywania szeregu spraw i problemów mieszkańców gminy, a które chociażby w okresie pełnienia funkcji kierowniczych przez kol. Mieczysława Rybaka nie mogły znaleźć rozwiązania. Prawidłowo i demokratycznie współdziałanie obydwu organizacji podkreślały uczestniczący wielokrotnie w naszych posiedzeniach przedstawiciele władz wojewódzkich, a w szczególności przedstawiciele WK ZSL. Czytając przedstawioną w artykule wypowiedź, można się tylko zastanowić, czy nasze działania można nazwać w starym stylu, a naszych kolegów, a raczej kolegi — nowym.

Henryk Wójcik
I sekretarz KG PZPR

Dokończenie ze str. 1

Wigurę. Poniżej murów ostał się pomnik bohaterskiej kasztelanowej. Na posiekanej kulami tablicy z trudem da się odczytać napis: „1675 — Zofii Chrzanowskiej, bohaterce, obywateli miasta i powiatu — 1900 r.” Historyczne mury stały się z czasem miejscowym sanktuarium ludzi i wydarzeń, o których nie można było zapomnieć.

Ze szczytu warownego wzgórza patrzmy na Trembowlę. Tuż przed nami wznosi się zgrabna bryła kościoła i klasztoru Karmelitów, otoczonego obronnym murem z piramidalnie zakończonymi wieżami. Ta na pozór delikatna fortyfikacja także oparła się tureckim zakusom w 1675 r. W kościele trwają prace remontowe, rzucają się w oczy rusztowania i nowa więźba dachowa. Nikt z przechodniów nie wie jeszcze, co będzie się tu mieszczać. Mieszkańcy dzisiejszej Trembowli żyją innymi czasami i problemami. Tuż przed murami kościoła Karmelitów z oszklonych gablot spoglądają na nas twarze młodych przodowników pracy i nauki. Klasycystyczna kolumnada sąsiedniego kościoła, ze skróconymi o połowę wieżami, zaprasza do wnętrza, wypełnionego dziś kulturą i rozrywką. Na przeciwstoku doliny niebo przecina maszt telewizyjny.

Po Zofii Chrzanowskiej, obrońcach twierdzy, dzielnych karmelitach i malowanych ulanach pozostały tylko wyszczerbione mury zamczyska, straszkany pomnik i grób kasztelanowej pośrodku ruin, stare księgi i opowieści, no i trochę nostalgii.

Schodzimy w dół, bo już późno i na pewno na czas czekają. Tu nie ma przecież powodów do dłuższego postoju; ruchliwy tranzyt już dawno nasyca apetyt Merkurego.

WSPOMINAJĄC o dawnych kresach polskich, utożsamiamy je najczęściej z terenami wyznaczonymi wschodnią granicą Polski sprzed września 1939 r. Te miejsca tkwią najmocniej w pamięci żyjącego pokolenia ich byłych mieszkańców i w powszechnej świadomości. Kresami przedrozbiorowymi interesują się profesjonaliści i miłośnicy historii z namietnymi czytelnikami niemodnego dziś Sienkiewicza na czele. Niedawno pojawiła się możliwość zorganizowanego zwiedzania niektórych miejscowości tych dalszych kresów, łącznie z częścią Podola, leżącą na wschód od Zbrucza. A więc następnego dnia jedziemy do Kamieńca Podolskiego. Znalazłem Kamieniec dotąd tylko z literatury, starych rysunków i fotografii. Dzisiaj mogę powiedzieć, że jest to jedno z najpiękniej położonych miast, jakie widziałem. Architektem bajecznego wręcz krajobrazu jest pętla rzeki Smotrycz, obiegająca miasto i twierdzę. Smotrycz płynie w przestronnym białym skalnym jarze, którego urwiska wznoszą się pionowo na kilkadziesiąt metrów. Miasto stoi wysoko na skale, opasane dodatkowo resztkami murów obronnych. W jego panoramie wybijają się wieże kościołów, których było niegdyś trzydzieści, wliczając świątynie ormiańskie i ruskie.

Dzisiejszy obraz miasta przedstawia tylko niewielką część starej zabudowy, zniszczonej przez Turków i władze carskie po kasacji twierdzy w 1812 roku. Wyburzono więcej niż połowę fortecznych bram, baszt miejskich i murów. Mimo to Kamieniec nie stracił swego uroku, powagi i dawnego majestatu. Uroda miasta idzie w parze z bogactwem jego dziejów, chociaż sympatyczny i pełen najlepszych intencji pilot radzieckiego biura turystycznego poprzestaje w autokarze na wymienieniu nazw jednostek Armii Czerwonej, które wyzwoliły Kamieniec w marcu 1944 roku, biorąc do niewoli ogromne ilości jeńców. Jest wyraźnie wdzięczny za uzupełnienie wcześniejszej historii.

Niewiele miast może poszczycić się podobną metryką i rolą w państwie. Już w 1129 roku Kamieniec, należący wtedy do księstwa halickiego, był oblegany bezskutecznie przez Polaków. W 1240 roku twierdzę zdobyli Tatarzy i był to jedyny chyba przypadek wzięcia jej szturmem. Od czasów Kazimierza Wielkiego przez ponad cztery stulecia Kamieniec dzielił polskie triumfy, problemy i gorycz klęsk. Był nazywany złotym kluczem do granic Rzeczypospolitej. Cieszył się szcze-

gólną łaską i przywilejami monarchów, którzy zaliczali go w poczet najznakomitszych miast polskich. W 1594 roku Zygmunt III zwrócił Kamieniec w prawach ze Lwowem.

Przez długie lata trwała tu trójnarodowa koegzystencja — Ormianie wzbogacali kasę miasta, Rusini dostarczali płodów ukraińskich ziem, a Polacy strzegli go przed tatarskimi i tureckimi zakusami. Tak było aż do 1793 roku, kiedy Kamieniec po drugim rozbiórze przypadł Rosji. Wcześniej przeżywał nieszczęśliwe lata niewoli tureckiej (1672—1699) po haniebnym traktacie w Buczaczu. Polski żywioł, wciąż tłący się mimo carskiego ucisku, buchnął płomieniem w listopadzie 1919 roku po zajęciu Kamieńca przez Wojsko Polskie. W rocznicę Konstytucji, 3 maja 1920 roku kilkutysięczny pochód przeszedł z miasta do zamku, manifestując przywiązanie do Polski.

NA PODOLE...

Traktat ryski oddał Kamieniec Rosji Radzieckiej.

Czasu na zwiedzanie mamy znów niewiele. Zanim zdążyłem wysiąść z autokaru, u stóp kamienieckiej twierdzy już otworzyły się kramy jak za dawnych polskich czasów. Miejsce Ormian zajęli potomkowie walecznych obrońców. Asortyment także nieco inny, kiedyś przeważały towary bławatne, dziś gotowe wyroby. Ale za to wzięte na Turku!

Chciałoby się pozostać tu dłużej i cofnąć wyobraźnię o kilka wieków, wsłuchać się w różnojęzyczny gwar wokół wieży ratuszowej, wiewaować królewskie orszaki, wypatrywać znane z portretów rysy hetmanów, rotmistrzów i generałów ziem podolskich, trwożyć się na bicie dział z baterii fortecznych. A tu spoglądają na zegarki, bo program się „zawali”, więc trzeba zadowolić się katedrą i zamkiem.

Kościół katedralny biskupów kamienieckich, którzy byli tu dłużej niż Polska, bo od końca XIV wieku do 1866 roku, ma piękną gotycką sylwetkę, wciśniętą w wąskie uliczki starego miasta. Wysoko ponad szczytem późniejszej, barokowej fasady wzbija się w niebo obcy architektonicznie, lecz symboliczny dla historii Kamieńca element — islamski minaret, dobudowany przez Turków w latach ich panowania po przemianowaniu katedry na sułtański meczet. 140 stopni prowadzi wewnątrz na galerijkę, z której muezyn przez 27 lat wzywał do oddania czci Allahowi. Po traktacie karłowickim i powrocie Kamieńca do Polski nie zburzono pamiętki niewoli, lecz zwieńczono ją spiżową figurą Matki Boskiej depczącej półksiężyc, odlaną w gdańskim warsztacie. Stoi tam po dziś dzień, przypominając, że dawny Kamieniec to przecież „urbs ante murale christianitatis”.

Podziwiamy gotyckie sklepienia i barokowy głównie wystrój. Znów pracuje wyobraźnia. Przed tym ołtarzem Sienkiewicz kazał panu Michałowi i Kettingowi składać rycerskie śluby. Tu wkroczył żalobny kondukt z trumną zmarłego w czasie bitwy chocimskiej hetmana Jana Karola Chodkiewicza, zanim przeniesiono go na wieczny spoczynek do rodzinnego grobowca w Ostrogu.

Teraz w katedrze mieści się muzeum ateizmu. W ten sposób przetrwała tu przynajmniej część dawnych pamiątek. Są nagrobne rzeźby Laury Przędzieckiej i Jana Krasieńskiego, obydwoje dobrego dłuta, polichromie na plafonach bocznych kaplic, sycerskie dzieła baroku w prezbiterium. Uwagę moją przyciąga nagle obiekt bardzo mi znany, z którym obcuje w Lublinie na co dzień. Czyżbym się mylił? Niemożliwe. Mam przed sobą w muzealnej gablocie litograficzną reprodukcję „Unii Lubelskiej” Jana Matejki. Co robi tu-

taj? Przychodzi moment olśnienia. Najważniejsza postać obrazu, król Zygmunt, dzierży przecież wysoko w prawicy krzyż. W muzeum ateizmu jest to egzemplifikacja postawy negatywnej. Jest tu również inny krzyż, metalowy, połączony wspólnym podpięsem z leżącą obok hitlerowską swastyką. Scenariusz tej wystawy powstał podobno dość dawno.

Wychodzimy z katedry i teraz biegiem na zamek leżący na zachód od miasta i połączony z nim wąskim, łatwym do obrony mostem przerzuconym przez przepaścisty jar Smotrycza. Z linii dawnych fortyfikacji miejskich widać wyrastające ze stromej skalnej posady potężne baszty, mury kurtyn, resztki bastionów i wałów obydwu zamków — starego i nowego. Architektura militaris różnych epok i różnych nacji jej reprezentantów: wsparta dziełem natury, stworzyła twierdzę,

dla której godnego porównania długo by trzeba szukać nie tylko w granicach Rzeczypospolitej. Wacław Potocki w swej „Transakcji wojny chocimskiej...” tak opisuje reakcję sułtana Osmana, który w 1621 roku, na widok Kamieńca, odstąpił od zamiaru wzięcia zamku:

Kto kował te kamienie? Kto skały obrywał?

Bóg — rzeką — słuszną, żeby i On je zdobywał.

Sława Kamieniec może się dzielić tylko z murami Jasnej Góry. Tym większa była gorycz obrońców, którym w nieszczęsnym dla Polski roku 1672 kazano poddać twierdzę nad Smotryczem. Prawdziwy etos rycerski tamtych czasów nie mógł się z tym pogodzić, stąd Sienkiewicz ręką Ketlinga zapala podwalne lonty ratujące honor i krzepiące kilka już pokoleń polskich serc.

W gasnącym już słońcu zaglądamy gdzie się da, wchodzimy do baszt, zgłębiamy fosy zamku, przechodzimy dobrze zachowanym międzymurzem od strony północnej. Praktyczna lekcja historii sztuki fortyfikacyjnej. Mimo niszczącego czynnika czasu i ludzi wszystko wydaje się tu wielkie w porównaniu z innymi zamkami polskimi. Być może Kudak nad Dnieprem wywarłby podobne wrażenie, lecz zniszczony został zupełnie przez wojska Chmielnickiego.

Na obszernym dziedzińcu kamienieckiego zamku akcentem memorialnym jest traktor, wysłużony weteran lat trzydziestych, bohater — jak głosi tablica — pierwszej pięciolatki. Panie Wobodajowski, larum grają. Z ust solidnie traktującej swe obowiązki, miejscowej przewodniczki także pada nazwisko Hektora Rzeczypospolitej, bez podania jego narodowości, ale to już szczegół dla polskiej wycieczki bez znaczenia. Zwijamy oblężenie zamku, a także ostatnie kramy, i już po ciemku dojeżdżamy do hotelu. Jutro zobaczymy Chocim, chociaż to już po tamtej stronie dawnej granicy. Poprzestanę na jednej tylko refleksji. Czy hetman i niebawem król Jan Sobieski mógł przypuszczać, że gloria dnia św. Marcina (11 listopada) 1673 roku pod Chocimiem, gdzie dokonał się największy do czasu odsieczy wiedeńskiej pogrom Turków, tak bardzo zblednie na korzyść tego samego dnia innego listopada, który przyjdzie w 245 lat później?

Wracamy. Autokar uzbrojony w dziesiątkę dodatkowych lamp (kineskopowych) podjeżdża do granicy. Chwila ciszy i grozy, chociaż za oknem nie widać ani tatarskich czambułów ani strasznych janczarów. Podchodzą za to celnicy. Ale to już — jak mówi Kipling — zupełnie inna historia, która zmąciłaby tu zadumę o rycerzach z nad kresowych stanic.

— Zygmunt Nasalski



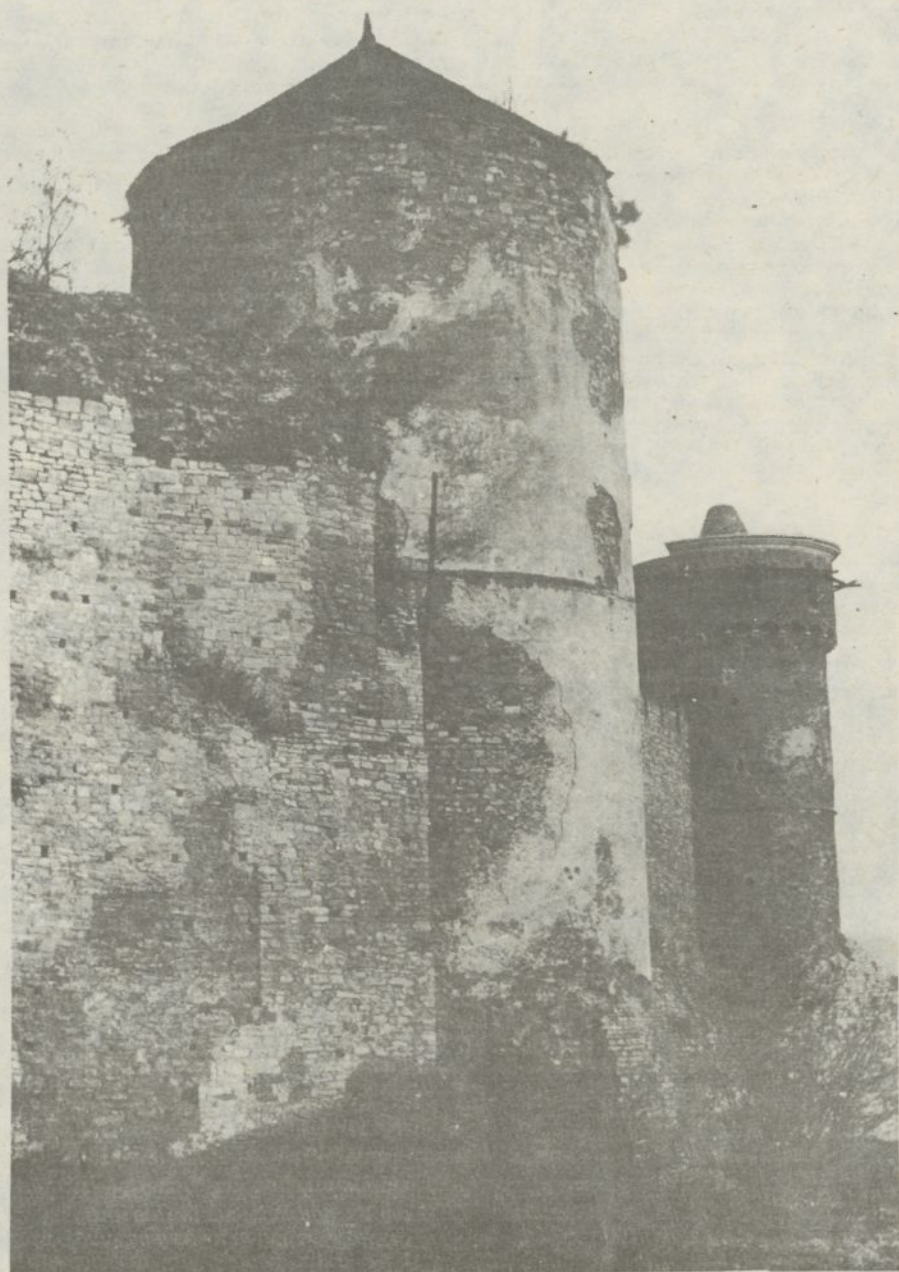
Ruiny zamku w Trembowli.

Fot. Zygmunt Nasalski



Kościół Karmelitów w Trembowli.

Fot. Andrzej Suski



Baszty zamku w Kamieńcu.

Fot. Stanisław Turski



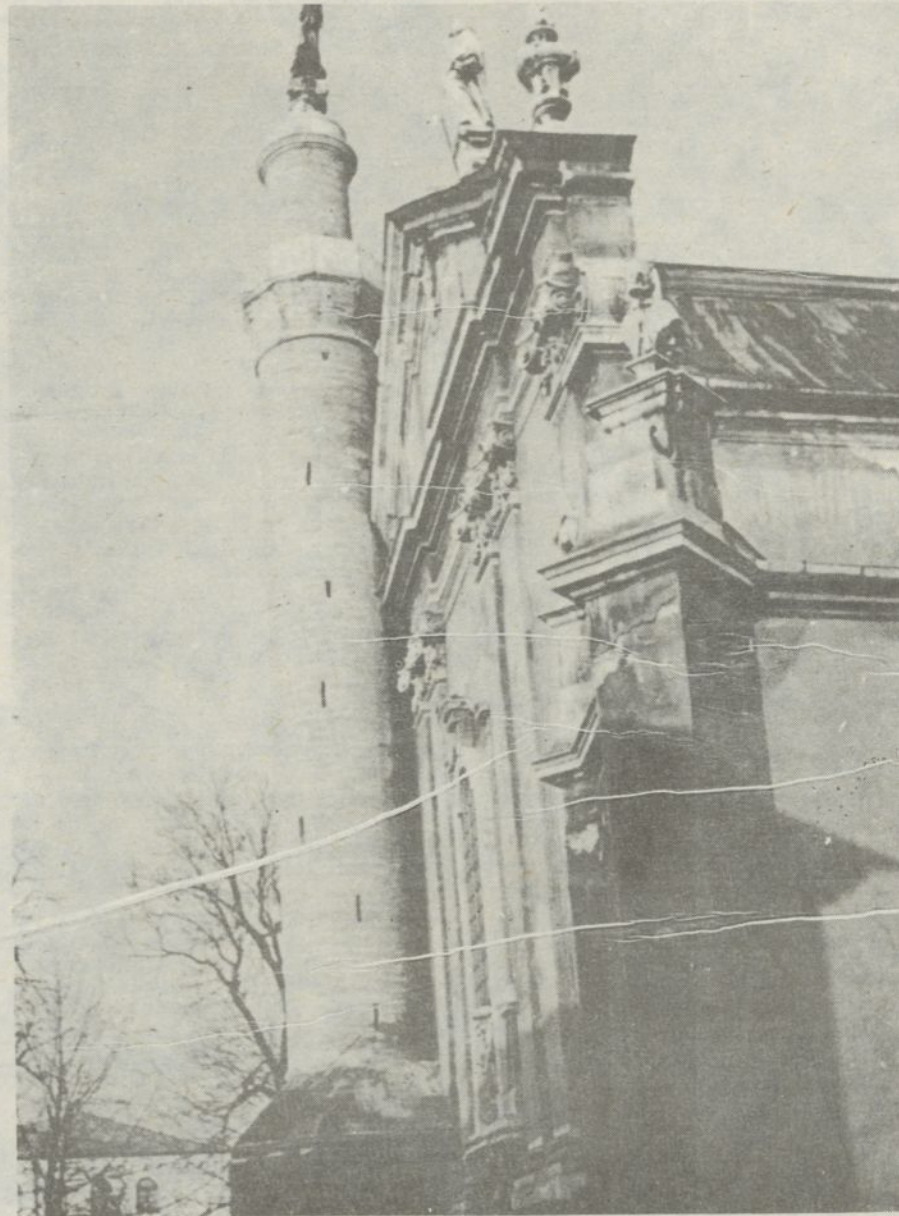
Zamek w Kamieńcu.

Fot. Stanisław Turski



Trembowla. Widok z góry zamkowej.

Fot. Andrzej Suski



Katedra w Kamieńcu z tureckim minaretem. Fot. Zygmunt Nasalski

GODNIE żył i dzielnie za Ojczyznę walczył: lat 31, miesiące 9 i dni 15. W nagrodę za to pamięć jego szargano aż poza grób przez lat 43, miesiące 3 i dni 2 — te gorzkie słowa wypowiedział na Wykusie 11 czerwca ub. roku, podczas uroczystości pogrzebowych Jana Piwnika „Ponurego”, dr Cezary Chlebowski, pisarz i historyk.

O awansowanym pośmiertnie do stopnia majora poruczniku „Ponury” napisano wiele w ostatnim czasie. Przełomowym dniem był 17 września 1987 roku, kiedy to pod bramę klasztoru opactwa Cystersów w Wąchocku podjechał prosto z Mińska Litewskiego karawan z urną zawierającą prochy świętokrzyskiego partyzanta. Był to ów drugi dzień po 43 latach i 3 miesiącach, o których wspominał autor „Pogrzebu Góry Świętokrzyskiej”. Tego dnia środką masowego przekazu podały informację PAP, że po staraniach

Mieczysław Borkowski ps. „Zator”, żołnierz „Ponurego” z oddziału kawalerii wachm. Tomasza Wójcika „Tarzana”, a później ze zwiadu konnego „Bogorii” w zgrupowaniu „Nurta” zarezerwował wystawę dla Lublina jeszcze rok temu w Warszawie. Przed Lublinem był Gdańsk, Starachowice i Kielce. Lubelską ekspozycję otworzył osobiście jej inicjator i opiekun — Zdzisław Witebski „Poraj”.

Mieczysław Borkowski po raz pierwszy zameldował się przed „Ponurym” w czerwcu 1943 roku. Był wówczas łącznikiem podobowodu AK „Wola” w Starachowicach nawiązującym kontakt z formującymi się na Wykusie zgrupowaniami. Miał wtedy 19 lat. Zapamiętał energicznego dowódcę, którego w sierpniu poprosił o przyjęcie do oddziału. Rekomendowała go staracho-

POZOSTALI W MARSZU...

Tomasz Szczukutowicz

rodziny i ZBoWiD wrócili na ziemię kielecką szczątki „Ponurego”. W komunikacie wymieniono więc nazwę organizacji, która nigdy nie wyrażała pozytywnej opinii w sprawie 18-letnich zabiegów o sprowadzenie prochów partyzanta.

— Wszak jeszcze do niedawna — mówił wśród lasów świętokrzyskich Chlebowski — za szarganie jego żołnierskiego imienia przyznawano nagrody literackie. Za fałszowanie przebiegu walk jego zgrupowań nadawano stopnie naukowe. Za przesładowanie jego żołnierzy awansowano posłusznych urzędników bez sumienia na wyższe stanowiska zawodowe. On był za wielki, aby zostawić go w spokoju nawet po śmierci...

Uroczysty pogrzeb, który na wąchockim rynku, noszącym obecnie imię „Ponurego”, przerodził się w patriotyczną manifestację, należy już do przeszłości. Można chyba śmiało powiedzieć, że przywrócenie prawdy o mjr. Piwniku było wymazaniem tzw. „białej plamy” z historii armii Podziemnego Państwa Polskiego. Niejeden z dawnych żołnierzy AK — a było ich na pogrzebie tysiące, nie tylko z oddziałów „Ponurego”, bo tych została garstka, ale ze wszystkich akowskich formacji — mógł pomyśleć patrząc na prostą drewnianą trumnę z niechcianymi przez lata szczątkami: „Oto mój żołnierski los powojennej tułaczki po należytą gościnność”.

Ta trumna stała się dla nich symbolem. Zawierała prochy jednego z nich.

W lutym ub. roku w warszawskim klubie MPiK na Ścianie Wschodniej otwarto — z udziałem partyzantów ze Zgrupowań Świętokrzyskich AK — wystawę zatytułowaną „Ponury. Nurta i ich żołnierze”. Ekspozycja stanowiła zbiór fotografii z wojennych dni partyzanckich. Pozostali w marszu, w walce, podczas odpoczynku, posilku i talety w zimnych strumieniach świętokrzyskich lasów. Pozostali na niewyraźnych zdjęciach — młodzi i radosni chłopcy.

Najpierw wojna, a później prawa bieżącego czasu zabierały wielu spośród nich.

W Lublinie żyje sześciu żołnierzy AK ze zgrupowań „Ponurego” i por. Eugeniusz G. Kaszyński „Nurta”. Zapragnęli oni pokazać obu komendantów także mieszkańcom swojego miasta. Wspomniane fotografie wypełniły więc sale wystawowe lubelskiego klubu MPiK przy ulicy Leonarda (21 II—19 III br.). Przez 30 dni uczyły historię, mało po tej stronie Wisły znanej. W gablotach znalazły się książki o Armii Krajowej: „Wachlarz”, „Cztery z tysiąca”, „Jodla”, „Cichociemni”, „U podnóża Góry Świętokrzyskiej”, „Reportaż z tamtych dni” — pozycje, które znikają z księgarskich półek. Na obwolucach nazwiska autorów — Wojciech Borzobohaty, Antoni Sułowski, Jędrzej Tucholski, Stanisław Jankowski, Cezary Chlebowski. Ta część eks-

wicka placówka, dając mu broń. Ostrogi miał własne — ukryte w kieszeni.

— Gdzie chciałbyś służyć? — zapytał „Ponury”.

— Lubię konie. Koń kawalerski był u sąsiada, starego ulana, który jeszcze za „cud warszawski” Krzyż Walecznych posiadał. Nauczył mnie ulan-skiej musztry.

Tego samego dnia stał przed „Tarzanem”.

— Ulan „Zator” melduje się.

Po wojnie, w 1946 roku, zaliczył „regulaminową” odsiadkę, zdekonspirowany przez kolegę na Wybrzeżu. W celi spędził 9 miesięcy.

— W 1954 roku dostałem nakaz pracy w Lublinie — mówi Borkowski — i tak tu się znalazłem. Nie wiedziałem, że kilku żołnierzy zgrupowań mieszka tuż obok. Ich adresy dostałem podczas spotkania partyzantów na Wykusie i tak nawiązałem kontakty ze Zbigniewem Jakubowskim ps. „Bystry” z oddziału ppor. Waldemara Szwieca „Robota”. Poznałem Zbigniewa Piaszczyńskiego „Łokietka”, Kazimierza Ponikowskiego „Sara”, Zbigniewa Wnuka „Małego” i Janinę Wojską „Lalę”. Wspólnie jeździliśmy każdego 16 czerwca na Wykus i wspólnie skierowaliśmy kroki do KMPIK na Leonarda, prosząc o udostępnienie sali na ekspozycję. Nie odmówiono...

Czy z podobną postawą zetknęliby się lubelscy akowcy przed kilkoma laty? W czasie, gdy wznowiono wydanie książki Janiny Broniewskiej z pomówieniami na temat ich komendanta? W okresie, zanim ostatni zwierzchnik Piwnika gen. bryg. Jan Mazurkiewicz „Radosław”, przyjmując życzenia urodzinowe od najwyższych władz PRL, zainteresował gen. Jaruzelskiego 18-letnią historią powracania prochów „Ponurego” z ZSRR tym bardziej, że władze białoruskiej SRR od początku wyrażały zgodę?

Cezary Chlebowski napisał, że życiorysem wojennym „Ponurego” można obdzielić wiele partyzanckich powstań, z których każda zasługiwały na oddzielną pomnik. Dalsze to po wojnie, gdy pseudohistorycy, pisarze i publicyści wypisywali „bandalorne” i „antylewicowcu” „Ponury” niezliczone badania — były dowódca radzieckich oddziałów partyzanckich na Nowogródzczyźnie, Jan Zolobow, późniejszy pułkownik NKWD, w opublikowanych wspomnieniach w ciepłym tonie, opowiadał o „Ponurym”, z którym planował wspólną akcję. Skoro tak było, nie pozostaje nic innego tylko za Chlebowskiem zadać pytanie: A jeśli zatem życie miało godne, walkę bohaterką i śmierć szczęśliwą (nie w łagrach), czemu po wojnie tak zjadale niszczone jego legendę?

Legenda przetrwała udokumentowana na dziesiątkach fotografii i w ustnych przekazach tych, którzy go znali.

Rozmowa z prof. dr. Leszkiem Mazepą prezesem Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej

— Panie profesorze, po niemal pięćdziesięciu latach od „opuszczenia” Polski przez Lwów mamy w nim Towarzystwo skupiające Polaków. Czy podzieliłby pan zdanie, że jest to przejaw „pieriestrojki” także w polityce narodowościowej i narodowej ZSRR?

— Oczywiście. Tak to odbieramy. Dzięki polityce jawności Gorbaczowa może dochodzić do wzmacniania podmiotowości wielu grup narodowych i narodowościowych, w tym także i naszej, polskiej. Dotyczy to nie tylko Lwowa i nie tylko Ukrainy.

— Kiedy powstało wasze Towarzystwo?

— Dokładnie: 3 grudnia 1988 roku. Działamy dopiero trzy miesiące, ale jest już o czym mówić.

— Może więc zaczniemy od liczebności. Ilu was jest i jak się to ma do ogólnej liczby Polaków na Ziemi Lwowskiej?

— Towarzystwo liczy 300 członków. Działamy w samym Lwowie i zaczynamy tworzyć oddziały terenowe. Pierwszy powstał w Samborze. Jeżeli idzie o liczbę Polaków, to mogę dysponować danymi sprzed spisu powszechnego, jaki odbył się w bieżącym roku. We Lwowie zamieszkiwało ich 13 tysięcy, a w obwodzie — ogółem 30 tysięcy. Być może wyniki spisu przyniosą korekty tych liczb. Przy tej okazji chciałbym powiedzieć, że zgodnie z prawem radzieckim jesteśmy obywatelami ZSRR narodowości polskiej i tak jesteśmy oficjalnie określani.

— Jakie cele stawia sobie Towarzystwo?

— Jest ich kilka. Na pierwszym miejscu wymienilibym integrację społeczności polskiej na Ziemi Lwowskiej w celu korzystania z kultury narodowej. Chodzi przede wszystkim o kulturowanie języka, kontakt z literaturą polską, znajomość historii, dorobku kulturowego. Zamierzamy także udostępnić dorobek naszej kultury innym narodowościom zamieszkującym Ziemię Lwowską: Ukraincom, Żydom, Ormianom, Rosjanom. Chcemy również sprzyjać zacieśnianiu więzi przyjaźni z narodem ukraińskim i innymi narodami. Cele kulturalne stawiamy też wysoko, bo jesteśmy towarzystwem kulturalnym, a integracyjne, bo od wieków na Ziemi Lwowskiej żyły obok siebie narody polski i ukraiński, zwykle wspól-

nie pracując, działając. Niesnaski i wzajemne żale nie powinny w żadnym wypadku brać góry nad pozytywnymi faktami, a już na pewno nie powinny rzutować na przyszłość stosunków. Mamy pełną świadomość, że nie będziemy mogli skutecznie pracować dla naszej sprawy, nie mając dobrych stosunków z otoczeniem.

— Rozumiem, że tym celem podporządkowane są formy działania?

LWÓW -

— Tak. Towarzystwo ma strukturę sekcijną, co pozwoli na maksymalne — jak sądzę — wykorzystanie predyspozycji i zainteresowań członków. Mamy następujące sekcje: krzewienia języka polskiego i kultury; kulturalno-oświatową, naukowo-badawczą i krajoznawczą; dobroczynności; sportu i rekreacji; stosunków międzynarodowych i międzynarodowościowych. Naturalnie trudno już mówić o jakiejś rozbudowanej działalności wszystkich sekcji. Bardzo aktywna jest sekcja kulturalno-oświatowa, organizująca rozmaite imprezy, koncerty, recitale. Często uzyskiwanych tą drogą funduszy zasila sekcję charytatywną, sprawującą opiekę nad ludźmi starymi, chorymi, niepełnymi, ubogimi czy po prostu potrzebującymi pomocy z jakiegokolwiek innego powodu. W tej pracy bardzo pomaga również Kościół, wokół którego ogniskuje się życie polskiej społeczności. Posiada on dobre rozeznanie w potrzebach pomocy innym, z czego korzystamy.

— Podobno Lwów przeżywa, po latach posuchy, „najazd” polskich grup artystycznych. Jak sądzisz, czy jest to do zaakceptowania?

— Wszystkich przyjmujemy z tradycyjną lwowską gościnnością. Gościliśmy już Teatr Ludowy z Nowej Huty (z „Zemsta”), „Kalambur”, Hannę Banaszak, Orkiestrę Reprezentacyjną Wojska Polskiego, Stefanię Woytowicz, Andrzeja Hiolskiego. Ma przyjechać Teatr im. Siemaszkowej z Rzeszowa. Lista tych, którzy chcieliby dla nas wystąpić, jest długa. Nas to bardzo cieszy, ale niestety musimy ograniczać te przyjazdy. Grono osób korzystających z tego rodzaju ofert jest w miarę stałe; nie mogą one brać udziału w imprezach co tydzień. Również i my nie

LISTY - POLEMIKI

Powinieniem w zasadzie zaadresować ten list do „Sztandaru Ludu”, lecz względy osobiste (patrz poniżej) kierują mnie bardziej ku „Relacjom”, gdzie — jak to z radością zauważyłem — pluralistyczne spectrum jest znacznie szersze.

Okrągły stół tak mnie ośmielił i rozbudził w demokratycznej euforii (pomimo nieprzejdanej postawy monarchistycznej, co wszakże demokracji nie wadzi), że postanowiłem wytoczyć na łamach Waszego tygodnika dwie od razu sprawy przeciwko panu redaktorowi Stanisławowi Jadczakowi z onego „Sztandaru Ludu”.

Pierwsza sprawa jest polityczna i wnoszę ją w żywotnych interesach byłej Korony Polskiej i byłych generałów ziem podolskich. Protestuję więc przeciwko wielce niekorzystnemu przesunięciu południowej granicy Pierwszej Rzeczypospolitej o 25 kilometrów na północ, co uwidoczniło zostało w raporcie p. Jadczaka „Gniazdo orłów” „Sztandar Ludu” z 24 lutego 1989 r.) — zamieszczenie zdjęcia fortali poprzecz — charakterne zamku w Kamieńcu Podolskim. W strachach pomysł, jakie reperkusje miałby ten wypadek w innej epoce. To dopiero byłoby naruszenie układów, cojuszy i osłabienie zdolności obronnej!

Pozew drugi wnoszę w obronie czołowego Jana Sobieskiego, którym w raporcie p. Jadczaka „Na multanckiej stronie” („Sztandar Ludu” z 17 lutego 1989 r.) odjęto rycerską glorię dnia św. Marcina tj. 11 listopada 1673 r. Pisze autor, że 9 listopada 1673 roku hetman Sobieśki stanął pod Chocimiem i że

zwycięstwo było świetne. W rzeczywistości 9 listopada hetman z polsko-litewską kompanią przegrał w obozie słone, choć chłód był taki, że ząb na ząb nie trafiał. Nazajutrz dopiero szturmowano Turka dla próby, lecz bezskutecznie. Przez całą noc z 10 na 11 listopada wojska polskie trzymały nieprzyjaciela w pogotowiu, przez co niejeden janczar skruszał z zimna. Rankiem 11 listopada, właśnie w akcentowanym mocno dniu św. Marcina, rozpoczął się pamiętny szturm, który dał walczącym sławę, a hetmanowi koronę. Tak było. Nie podejrzałem, aby po ostatniej galopadzie zmian, w gazecie pana redaktora Jadczaka nadal obowiązywała zasada: nomina sancta sunt odiosa.

Choć regalista, nie jestem pleniacz i skłaniam się do polubownego załatwienia obydwu spraw i pomniejszych sprawek osadniających wymienione tu reportaże.

Z poważaniem

Zygmunt Nasalski
Lublin

„JAKA POLSKA, JAKA WŁADZA?”

Nawiązując do artykułu w tygodniku „Relacje” nr 4 pt. „Jaka Polska, jaka władza?” autorstwa pana Janusza Wrony, pozwolę sobie aprosować pewne istotne niedociągnięcia, zawarte w tymże wyrażonym artykule.

Zacznę od siebie. Od września 1943 roku byłem członkiem „Korony” na miasto Lublin, mając lat 16. Urodziłem się dn. 24.03.1927 roku. Po wejściu Armii Czerwonej do Lublina w dn. 23.08.44 r. zostałem aresztowany przez NKWD i osadzony w piwnicy domu przy ul. Szopena 18 skąd po czterech

możemy angażować się co tydzień do organizacji nowego recitalu czy przedstawienia. Po prostu nie wytrzymamy tego organizacyjnie, a i artystom z Polski chodzi chyba o to, aby mieć na występach komplety. My naprawdę chcemy działać wiele lat! Róbmy wszystko spokojnie i z planem.

— Co pan sądzi o akcji gromadzenia książek dla Lwowa?

— Znowu mogę tylko gorąco podziękować. Są jednak pewne „ale”. Naprawdę nie jest tak, że słowo polskie było u nas zupełnie nieobecne. W bibliotekach lwowskich: języków obcych i Ukraińskiej Akademii Nauk znajduje się ogółem ponad 150 tysięcy woluminów polskich. Polskie książki można

— Tak. Ma to ogromne znaczenie jeżeli chodzi o utrzymanie i naukę języka. Program polskiej TV jest atrakcyjny i bardzo chętnie oglądany. Znam wiele dzieci z rodzin ukraińskich czy rosyjskich, które zupełnie dobrze nauczyły się polskiego właśnie z telewizora.

— Lwów przez swą wielonarodowość uchodził za przykład tolerancji, wzajemnego przenikania kultur, tworzenia się niepowtarzalnych więzi. Jak to wygląda dziś? Czy nie obserwuje pan procesu odchodzenia od języka ojczystego?

— Sytuacja narodowościowa we Lwowie jest dziś naturalnie inna niż przed wojną, bo zmieniły się proporcje

NASZA OJCZYZNA...

również kupić w księgarni. Na ogół są to najwybitniejsze pozycje polskiej literatury. Gorzej jest z literaturą współczesną. Naturalnie zbieranie książek dla Lwowa jest wręcz nie do zaakceptowania, ale chcielibyśmy mieć także i my na to jakiś wpływ. Chcielibyśmy po prostu otrzymywać książki najbardziej potrzebne, a nie wszelkie, jakie zostaną zgromadzone. Pomijam i nie rozwijam tematu, że nie wszystkie książki w języku polskim mogą do nas trafiać. Napływ literatury zagranicznej regulują stosowne przepisy, z czym także trzeba się liczyć. Ja tego nie mówię z jakiegokolwiek niedzięczności, a jedynie dla uzmysłowienia specyfiki sytuacji, w jakiej działamy.

— Skoro już jesteśmy przy słowie polskim... Ile szkół polskojęzycznych działa we Lwowie i ile dzieci się w nich uczy?

— We Lwowie mamy dwie szkoły polskojęzyczne. Jedną z nich jest dziesięcioletnia Szkoła nr 24, a drugą „ośmiolatkę” nr 8. Nauka w klasach I—IV toczy się wyłącznie po polsku i dotyczy to wszystkich przedmiotów, a potem po rosyjsku. Przez cały czas jest nauczany język polski i literatura polska. Do szkół tych uczęszcza 300 dzieci. Wydawane są dla nich podręczniki w języku polskim, zgodne z programem nauczania w innych szkołach. Upodzielając pytanie, czy są to dobre podręczniki, odpowiadam: mogłyby być lepsze. Być może powinno dojść do współpracy metodycznej z polskimi specjalistami przy powstawaniu nowych podręczników.

— Czy we Lwowie można oglądać polski program telewizyjny?

ludnościowe. Coś jednak pozostało. Silne są we Lwowie społeczności żydowska i ormiańska. Mają one również swoje towarzystwa kulturalne. Czy taka wielonarodowość sprzyja zachowaniu języka? Raczej — nie. Dostrzegam coś, co bym nazwał praktycznym wyborem. Nie zawsze polskie dziecko idzie do polskiej szkoły, bo dojeżdża się do niej godzinę, a obok jest inna, do której chodzą koledzy z podwórka. Jeżeli dziecko ma kontakty z rówieśnikami ukraińskimi, też trudno oczekiwać, aby mówiło do nich po polsku. Trudno też o zachowanie czystości polskiego u dzieci z mieszanymi małżeństwami. Wszystko zależy w decydującej mierze od domu, rodziny. Jeżeli tam się mówi po polsku i pielęgnuje język, to on przetrwa. Mój kolega z zarządu Towarzystwa, doktor Kokodyński, powiada, że we Lwowie granica narodowościowa przechodzi zwykle przez... łóżko. Ma w tym wiele racji...

Zresztą nie można być ortodoksem i twierdzić, że kryterium polskości jest tylko język. Kiedy w Samborze zakładaliśmy oddział Towarzystwa, przyszło ponad dwieście osób. Wielu z nich mówiło łamanym polsko-ukraińskim, a kiedy trzeba było formułować myśli bardziej złożone, przechodzili na ukraiński. Ale ci ludzie nigdy nie powiedzą o sobie inaczej niż „Polacy”. Ten przykład pokazuje nam również kierunek drogi: trzeba uruchamiać zajęcia z języka polskiego.

— Czy z kolei zainteresowanie językiem polskim jest zauważalne u innych grup narodowych mieszkających we Lwowie?

— Tak. Wielu Ukraińców zna polski i się tego wcale nie wypiera. Znają



Lwowski lew, jak dawniej, zdołał wejść do Ratusza.

Fot. Archiwum

polski Żydzi. Rosjanie. Motywacje do nauki bywają różne. Często bardzo osobiste. Powiem może, że w zarządzie naszego Towarzystwa są Żydzi, Ukraińcy, Rosjanie, a nawet Azerbejdżanin. Wszyscy znają polski i łączy ich emocjonalny stosunek do naszej kultury. Również może kogoś zainteresuje, że dyrektorem Teatru Polskiego we Lwowie jest Rosjanin, a jedna trzecia zespołu to też nie są Polacy, ale do polskości się garną. Co, mamy ich odrzucać?

— Wspominał pan o dziejach wzajemnych stosunków polsko-ukraińskich, które obok jasnych i budujących kart miały także ciemne strony. Czy w jakiś sposób rzutuje to na sytuację Polaków we Lwowie?

— Obserwujemy gwałtowny wzrost podmiotowości narodowej Ukraińców. Nie ma on jednak wektora antypolskiego. W kręgach inteligentnych widać

nawet tendencje do zbliżania się do Polaków. Z tego zrodziła się idea powołania Forum Intelktualistów, które zajęłoby się omówieniem i wyjaśnieniem „białych plam” historii polsko-ukraińskich stosunków. Oczywiście byłoby to wspólne Forum. Chętnie włączymy się do prac takiego zespołu.

Myślę, że jest też w tym momencie sposobna okazja do powiedzenia, że nasze Towarzystwo jest dotowane przez Ukraiński Fundusz Kultury, który sponsoruje także inne towarzystwa narodowe i narodowościowe. Nie oznacza to absolutnie, że jest to forma jakiegokolwiek sterowania.

— Gości pan, i zarząd Towarzystwa, w kraju na zaproszenia Towarzystwa „Polonia”. Jakże wrażenia?

— Nie da się żadną miarą przecenić tego, co Towarzystwo „Polonia” robi dla Polaków w ZSRR. Dzięki niemu zostaliśmy włączeni do wielkiej rodziny Polaków z całego świata i możemy uczestniczyć w różnych formach wspólnoty tej naszej rodziny. Ostatnio uczestniczyliśmy na przykład w Polonijnych Igrzyskach Zimowych w Zakopanem. Wybieramy się na Lato Polonijne. I ja, i moi koledzy jesteśmy bardzo serdecznie przyjmowani i na każdym kroku odczuwamy wolę pomocy. Przy tej okazji chciałbym przedstawić moich kolegów z prezydium zarządu, którzy mi towarzyszą i pewnie bardziej niż ja zasługują na prezentację. Są to: wiceprezesi dr Adam Kokodyński i Władysław Łokietko, sekretarz Zofia Szlecha, skarbnik Bożena Sokołowska i Zbigniew Bill.

— Skoro tak, czy mógłby się również pan bliżej przedstawić?

— Jestem lwowianinem od kilku pokoleń. Od najmłodszych lat związałem się z muzyką. Dziś jestem kierownikiem Katedry Kompozycji i Instrumentacji Państwowego Konserwatorium we Lwowie. Nie wyjechałem ze Lwowa i nigdy z niego nie wyjadę. Jest to moja ojczyzna.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:

Waldemar Piasecki

W związku z licznymi pytaniami, w jaki sposób można się kontaktować z Towarzystwem Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, informujemy, że na razie nie ma ono swojej siedziby. Odpowiedzi należy kierować do Oddziału Towarzystwa „Polonia” w Rzeszowie, który pozostaje w stałym i bieżącym kontakcie z TKPZL.

dnach intensywnego śledztwa w dn. 27.08.44 r. z lotniska Świdnik wywieziony (wraz z innymi) do Moskwy i osadzony w więzieniu „Lefortowski”. Po dwutygodniowym pobycie w więzieniu przewieziono nas do Charkowa. W Charkowie przebywałem z gen. Kazimierzem Tumidańskim, gen. Bitnerem, gen. Filipowskim (AK Lwów), Wł. Cholewą, mjr. T. Sztumberg-Richterem i wielu innymi (było nas w Charkowie 146 osób). W 1946 r. z Charkowa przewieziono nas do Riazania (Diagilewo). W 1947 roku (po głodówce) obóz nasz rozdzielono na cztery grupy i rozwieziono w różne strony ZSRR. Ja znalazłem się w grupie około 500 ludzi i „wylądowałem” w miasteczku Borowicz, skąd w październiku 1947 roku powróciłem do Polski. To by był mój skrócony życiorys.

Teraz pragnę sprostować nieścisłości zawarte w artykule. Najniższy wiek wywiezionych żołnierzy AK to nie 19 lat, a 17 lat (w Charkowie z tego rocznika było nas trzech z tej samej grupy z Lublina). Wojewoda Wł. Cholewa wrócił do Polski nie po 2 latach, a po 3 i 3 miesiącach.

Zygmunt Łyżycki

Opole Lubelskie

„WCHODZIMY CZY NIE?”

Motto:

„Wejść — to nic, lecz zejść — to sztuka! Darmo Janek ścieżki szuka, Wszędzie strono, wszędzie ślisko, Ot, zwyczajnie, jak urwisko! Już i płakać zaczął nieco...”

(Maria Konopnicka: „O Janku wędrowniczku”)

Ostatnio w tzw. „pierwszym obiegu” wydawniczym coraz częściej spotykamy wypowiedzi ludzi, którzy tłumaczą, dlaczego gdzieś należą, chociaż w

zasadzie to należeć nie chcą. Wyjaśnienia owe prawie zawsze mają wspólny element: nic nie wyjaśniają. Nie odbiega od tej normy artykuł pana Henryka Pajaka, jednego z lubelskich literatów, zamieszczony w „Relacjach” 6/89. Jego okolicznościowy tekst pt. „Wchodzimy czy nie? Przed zjazdem literatów” jest tak mętny, że zupełnie nie wiadomo, dlaczego autor „wszedł” do organizacji, której statut już w pierwszym punkcie jest dla niego nie do przyjęcia, a sens jej istnienia podważa, czego w niej szuka i co naprawdę myśli. Motywy wstąpienia są, rzecz jasna, jego sprawą prywatną. Skoro jednak postanowił publicznie wyjawiać swoją opinię o środowisku literackim w Polsce, powinien rzeczowo i uczciwie przedstawić genezę dzisiejszego związku i dramatyczną historię likwidacji jego poprzednika. Minimum przyzwyczajenia nakazuje chociażby wskazanie czytelnikom wiarygodnego źródła informacji na ten temat (a jest przecież znakomita, choć trudno dostępna książka Jana Józefa Szczepańskiego pt. „Kadencja”, wydana — jak na razie — w tzw. „drugim obiegu” przez Oficynę Literacką w 1986 r.).

Pan Pajak stawia pytanie: „wchodzimy czy nie?”. Przeczynamy, ale do kogo ta mowa? Do kolegów literatów? Ci, którzy nie weszli, patrzyli i nadal patrzą na siebie bez zażenowania, o którym pisze pan Pajak. Nie wynika to z ich znakomitego samopoczucia, lecz z umiejętności rozróżniania elementarnych wartości. Relatywizm i smak także mają granice.

Nowy Związek Literatów Polskich („Złepem” popularnie i nie bez racji zwany) wykreowany został na Konferencji Pisarzy Partyjnych w lutym

1983 r., a w sierpniu tegoż roku definitywnie rozwiązano stowarzyszenie pod nazwą „Związek Literatów Polskich”. Nowa organizacja zabrała, wbrew prawu i dobrym obyczajom, nazwę, lokale, majątek, pieczęć, legitymacje — słowem, wszystko, co było do zagarnięcia — prawowitym właścicielom. Analogia z niesławną akcją likwidacji „Tygodnika Powszechnego” w czasach, do których, mam nadzieję, i „Złep” czuje obrzydzenie, jest aż nadto widoczna. Nawet dziennikarze wykazali więcej poczucia przyzwoitości, nazywając swoją nową, zweryfikowaną organizację SD PRL.

Pan Pajak wstąpił do nowego ZLP po kilku latach wierności pryncypiom przyjętym przez Zjazd Walny ZLP z grudnia 1980 r. Wstąpił, bo jak pisać, chciał gdzieś być; miał prawo, wybór jest sprawą przede wszystkim sumienia, a także smaku. Czy jednak zmiana opcji moralnej i politycznej musi być związana z utratą poczucia rzeczywistości? Radość pana Pajaka, że nowa organizacja jest Wallenrodów, odważnych krypto-antykomunistów brzmi paranoicznie. Również końcowe uwagi autora na temat sytuacji materialnej pisarzy i wydawnictw nie nie wnoszą do rozwikłania dylematu (o ile ów istnieje): „wchodzimy czy nie?”; problemy te związane są bowiem z decyzjami politycznymi, takimi jak ustanowienie niezawisłości sądów, wolności prasy, zniesienie cenzury, przyhamowanie aktywności MSW w tropieniu drukowanego słowa itd. Zaś wypisywanie cudacznych wyznań, iż jest się przeciwnikiem wszelkich odmian socjalizmu i zestawianie ciurkiem nazwisk Piłsudskiego i Stalina, Jana Józefa Lipskiego i Koźmiewskiego czy Sokor-

skiego jest wyjątkowo niesmaczne. Równie paskudne są stwierdzenia autora odnoszące się do osoby Zdzisława Najdera.

Wybór został przez pana Pajaka dokonany. A to, czy bardziej odpowiada mu towarzystwo Romana Bratnego, czy Jacka Woźniakowskiego, jest kwestią jego smaku.

Jan Pliszczyński

Lublin

„ZWYCZAJNA HISTORIA”

Z przyjemnością przeczytałem reportaż w „Relacjach” z dn. 2 III br. „Zwyczajna historia”. To nie była zwyczajna historia, to była walka o utrzymanie się przy życiu. Obecnie mam już 82 lata i w Niemczech w owym czasie pracowałem w gminie jako „niby” pracownik umysłowy, a robiłem wszystko, co było niebezpieczne, ponieważ nie meldowałem się u Niemców, gdyż byłem oficerem rez., a z zawodu nauczycielem. W swoim artykule umieścił pan wszystkie o ks. Jedruszaku, tylko pominął pan, wg mnie, ważną rzecz. A mianowicie w maju czy czerwcu 1944 r. odbył się egzamin maturalny u ks. Jedruszaka w zabudowaniach (na strychu) z matematyki z dawnego gimn. J. Zamoyskiego. Wiem, że egzaminatorem był już nieżyjący prof. Piotr Malec. Z polskiego zdawała druga grupa u Tadeusza Szyski, sekr. gm. Niemce, już nieżyjącego. Co do areztowania ks. Jedruszaka, to i inne sprawy się zgłosiły, raczej polityczne. Fakt, że siedział niewinnie, jak w tym czasie wielu innych: wspomniany sp. Szysko też odsiedział jak i ksiądz półtora roku.

Z poważaniem

Czesław Boguciński

Cieleszyn

Dziennik wojenny Wacława Flisińskiego (autor urodził się w 1906 r. w Annopolu, zmarł przed kilkunastu laty w Nowym Jorku), będąc w znacznej części dokumentem z epoki stalinowskich łagrów, jest zarazem barwną opowieścią o polskich żołnierskich drogach w czasie II wojny światowej.

Stanowi on jakby dopełnienie fresku wojennego autorstwa lublinianina, dr. Adama Majewskiego — „Wojna, ludzie i medycyna” — owych wspomnień pisanych z punktu widzenia lekarza chirurga, oficera 3 Dywizji Strzelców Karpackich. U Flisińskiego natomiast mamy relację podoficera, kancelisty w polowym szpitalu 5 Kresowej Dywizji Piechoty — 2 Korpusu Polskiego.

Podobnie jak Adam Majewski, wywodzący się również z Lubelszczyzny kapral, a następnie sierżant Wacław Flisiński (w życiu cywilnym — sekretarz Urzędu Gminnego w Annopolu) zamieszka w swym dzienniku mnóstwo odniesień do rodzinnego regionu. Píše też o ludziach z lubelskich wsi, miasteczek i miast, których spotkał w czasie długiej wędrówki — od łagrów położonej na północy ZSRR republiki Komi aż po winnice słonecznej Italii.

M. D.

OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII

Wacław Flisiński

Córce mojej poświęcam

**Zaporoże,
10 kwietnia 1940.**

W szpitalu umarł jeden z kolegów, Jan Sanecki z Lublina, starszy pan, pracownik Międzykomunalnego Związku Elektryfikacyjnego. Miał robioną operację i po operacji, 29 albo 30 marca 1940, wyzionął ducha. Przeżył się po tej operacji, kiedy go z sali operacyjnej przewożono na salę chorych. Pochowany na cmentarzu szpitalnym.

Razem ze mną był w szpitalu Leon Stylicki z Wilkołaza. Chorował na nerki. Dłuższy czas był na kuracji. Zmarł 4 kwietnia. Zapuchł początkowo do pasa, a później puchlizna podeszła do serca.

Pamiętam, że kiedy byłem w szpitalu, pożyczylem od niego 3 ruble, ale nie zdążyłem ich oddać. O jego śmierci powiedział mi Edek Karnicki, który dłuższy czas był na kuracji dolegliwości żołądkowych i przyjaźnił się ze Stylickim [tak w tekście — przyp. M. D.].

Zmarł tu również Florian Drzewiecki z Poznania. Okoliczności jego śmierci były następujące. Nie wiem, z jakiej przyczyny komendantura wpakowała go do karceru, który mieścił się w piwnicy pod komendanturą. Było zimno, a w dodatku chłopaka rozbrali, jak się mówi — „do gaci”. Zaraz po pierwszej nocy skostniał. Po wyjściu z karceru (nie pamiętam: dobę czy dwie siedział) rozwinęła się choroba płuc. Przewieziony do szpitala, w kilka dni wyzionął ducha. Powiedział mi o tym Stefek K. „Wyobraź sobie — mówił Stefek — jego żona jest podobna w Kijowie jako uchodźczyni; i ostatnio był od niej list z zawiadomieniem o urodzeniu dziecka!”.

Były ucieczki z naszego obozu na wolność. Trzej koledzy zdecydowali się któreś nocy na wspólną ucieczkę. Wyszli z fabryki po zmierzchu i kierując się na Odesę, zimową jeszczą porą, dotarli jakoś aż do najbliższych okolic tego miasta. Nieszczęście chciało, że któregoś dnia, będąc w małym ośledlu, stanęli przed jednym ze sklepów w kolejce po chleb. Ubrani byli w nowe kufajki i one ich zdradziły, jako że wszyscy miejscowi mieli stare, wyswiechtane. Doniesiono do milicji i — skutek wiadomy. Później była rozprawa w Zaporozu. Dostali wyroki i przeniesienie do innych obozów. Na sąd wezwano delegację z naszego obozu, żebyśmy się przekonali, że tamtych kolegów naprawdę schwytano.

Był również przypadek szczęśliwej ucieczki. Oto jeden z kolegów, pracując w fabryce, porozumiał się z tutejszą kobietą, która obsługiwała kran fabryczny. Pewnej nocy oboje zniknęli. Później nadeszły od tego uciekiniera wiadomości: pierwsza ze Lwowa, a następnie już z Warszawy. Szczęśliwie dotarli do celu podróży. Wszelkich ułat-

wień podczas ucieczki przez tereny sowieckie dokonywała Rosjanka. Ona kupowała bilety kolejowe, ona starała się o żywność.

Także kilku innym udało się wyrwać z obozu. Doszli szczęśliwie do miast naszych ziem wschodnich będących pod sowiecką okupacją.

**Zaporoże,
15 kwietnia 1940.**

Po przeciwnej stronie korytarza jest sala nr 10. Rozlokowali się w niej przyjaciele i znajomi: Stefek Kaczyński, Henryk Domański, Kazik Rankowski — adwokat z Poznańskiego, Stefanowicz — starszy pan z Warszawy; jest również Wacław Czerwiecki.

W okresie, kiedy NKWD prowadziło badania, poszukując oficerów, wzywali do siebie m. in. Domańskiego, Kaczyńskiego, Rysaka i innych. Żaden z nich nie był oficerem, ale ich inteligentny wygląd i nieprostactkie zachowanie budziły podejrzenia.

Stefek wrócił kiedyś z takiego nocnego śledztwa i opowiadał mi, że urzędnik wojskowy badał go kilka godzin, powtarzając w kółko, żeby się przyznał, że jest oficerem. Podsunął mu nawet pod nos papier urzędowy, na którym wymienione było nazwisko Stefka z adnotacją, że jest on oficerem w stopniu porucznika. Resztę kartki urzędnik zakrył dłonią. Prawdopodobnie ktoś Kaczyńskiego fałszywie oskarżył. Stefan był mocno zafascynowany, czy mu aby nie „udowodnią”, że jest oficerem. Bał się, bo każdy oficer to „wrag narodu” i trzeba go „uniczulić”. A przecież życie każdemu mile. Choćby i w obozie jenieckim.

Podobnie jak Stefek, miał stopień plutonowego Rankowski (choć adwokat). Nawiasem mówiąc, w szpitalu wojennym Rankowski był na stanowisku oficerskim. Ale to wcale nie znaczyło, że był oficerem z prawami do gwiazdek.

Autentycznym natomiast oficerem, w stopniu podporucznika, jest Wacław Czerwiecki. Jego także, oczywiście, wołano do komendantury, ale się jakoś wywinął i procesu mu nie wytaczali. Pietra to on, swoją drogą, miał — żeby NKWDziaki się nie dowiedzieli!

Cz., aby ukryć się ze swoim stopniem, pracuje i przyjaźni się z osobami, które z wyglądu nie nastroją najmniejszych przypuszczeń co do swego pochodzenia. „Wyobraź sobie!” — mówi mi Bolek Rysak — on już całkowicie upodobił się do swoich kumpi, z którymi chodzi do pracy. Kłnie po sowiecku za każdym słowem, paraduje w brudnej futajce, pluje z górnej przyczay na środek sali. I w ogóle nie dba o wygląd zewnętrzny. A to wszystko dlatego, żeby „kapuś”, który ulokował się na tej samej sali i sypia na wprost jego przyczay, nie miał najmniejszych podejrzeń co do osoby Wacka”.

Są tutaj także m. in. podoficer zawodowy żandarmerii z Lublina, Stani-

slaw Sawicki, Tomasz Chyliński (który wspomina, że kiedyś był czeladnikiem u swojego ojca), Osuchowski z Okocimia (rachmistrz z browaru), Franek Iskra z Grabówki. W sąsiednim baraku widuję Karola Jastrzębskiego z Chodla. Mieszkają tam również — Szober i Szefer. Obydwu wzywano do komendantury i pytano, dlaczego nie podają się za Niemców i nie korzystają w ten sposób z możliwości powrotu do kraju w transporcie niemieckim. Obydwaj odparli, że są Polakami. Szober, zdaje się, nauczyciel, pochodzi ze Lwowa.

Mieliśmy tu wiadomości, że z innych obozów podobnych do naszego wypuszczono do domu 46 000 szeregowych — jesienią i w zimie 1939 r. Oficerów zaś zatrzymano w obozach jenieckich.

• • •

Zapomniałem dotąd odnotować, że po przybyciu do obozu w Zaporozu każdy jeniec otrzymał krążek metalowy, na którym był wybit jego numer rejestracyjny (w moim przypadku: 1034) i litery rosyjskie: W.P. („wojennoplenny”). Krążek ten miał służyć jako dowód legitymacyjny, ale nikt go z nas nie nosił przy sobie. Krążki, nанизane na drut przez wszystkich mieszkańców tej samej sali, wisiały na gwoździu na ścianie.

W Zaporozu każdy jeniec otrzymał także książeczkę rozrachunkową („rasczotnuju kniżku”), potrzebną do rozliczeń pracy w fabryce. Po zaburzeniach w okresie Bożego Narodzenia i po późniejszym strajku krążki identyfikacyjne i „rasczotnyje kniżki” zniszczyliśmy. Kartki z tych książek zużyto jako papier do skręcania papierosów. Ja pozostawiłem sobie „na pamiątkę” okładkę.

• • •

W komendanturze pracują m. in. Ukraińcy. Dwóch z nich jest za odzwierzytnych. Od czasu do czasu można otrzymać przepustkę do miasta. Kiedy ci dwaj są na bramie, starają się naszym, wychodzącym w niedzielę do miasta,

2
29/04 1940
37/04 1940
29/04 1940

POSPRAZHDNIA KNIHKA 1034
PACVETNAN KNIHKA

W. Flisiński
Bazył
H. J. B. D.
Jano. onemall
28.4.1940

Pracownicza książeczka rozliczeniowa W. Flisińskiego z okresu pobytu w Zaporozu.

Repr. Waldemar Stepień

obcinać nożami naramienniki i guziki z polskimi orzełkami. Wiebu w obozie pozaszywało guziki materiałem. Większość jednak nadal trzyma je otwarcie przy bluzach i płaszczach.

Ja osobiście z przepustki nie korzystałem. Był kiedyś raz — Franek Iskra.

**Zaporoże,
17 kwietnia 1940.**

Przerwano sielankę rekonwalescencjom, wzywając ich do lekkiej pracy w ogrodach fabrycznych. Jest to właściwie odpoczynek na świeżym powietrzu. Odpoczynek po wielomiesięcznym siedzeniu w odrutowanym obozie, na salach, w których przebywało nieraz po 50 osób.

Ociepla się z każdym dniem. W naszym obozie przebywali Niemcy wzięci do niewoli jako żołnierze wojska polskiego. Niektórzy z Polaków, jak już wspominałem, podawali się za Niemców, aby wrócić do kraju. Był między tymi ostatnimi Florian Bajonowski z Poznańskiego oraz jeden z Lublina, który pracował tam w elewatorze zbożowym.

Kiedy pracowaliśmy, dwóch czy trzech Niemców (dywersanci z Polski) szkicowało (gdy sądzili, że nikt ich nie obserwuje) zabudowania fabryczne na bibulkach papierosowych. Stawiali w grupie, a jeden, przysiadłszy, narzucał plan na papier położony na łopacie.

Pewnego dnia komendantura przysłała do obozu fotografa i on fotografował najpierw wszystkich Niemców, a później — pozostałych jeńców. Robiono zdjęcia z profilu i en face; a potem jeszcze raz z przodu: z zawieszoną na piersi tabliczką z numerem. Fotografie zostały dołączone do naszych „uczotnych dzieł”. Czyli — akt personalnych.

**Obóz jeńców wojennych
w Zaporozu,
1 maja 1940.**

Na galówkę urządzoną w mieście z okazji 1 Maja wysłano z obozu delegację. W mieście było ostre pogotowie.

**Zaporoże,
20 maja 1940.**

Dziś do obozu przyjechali kasjerzy z fabryki dla dokonania wypłaty pieniędzy zarobionych przez tych spośród nas, którzy w listopadzie ubiegłego roku podpisali sześciomiesięczne kontrakty na pracę w warsztatach. „Czemu wypłacacie pieniądze?” — pytamy zaintrygowani. „Opuszczacie wkrótce ten obóz” — odpowiadają.

Gdzież to znowu pojedziemy?! „Na białe niedźwiedzie” wysłano nas już kiedyś, szermując tym określeniem w przystępie złości, kiedy to na zebraniu po Świętach Bożego Narodzenia oświadczaliśmy komendantowi obozu, że do pracy nie pójdziemy. Był to właściwie mityng, zwołany któregoś wieczoru w obozowej stołówce przez majora NKWD, oficera do spraw politycznych. Major podniósł w swym przemówieniu sprawę konieczności pracy dla Związku Sowieckiego; mówił o wypadkach w czasie Świąt; o konieczności zachowania spokoju. Z kolei przedstawiciel fabryki rozwoził się na temat uczciwej roboty; wspominał, że wartość naszej pracy jest mniejsza niż wydatki na nasze wyżywienie i utrzymanie w obozie. (Dodam tu, że początkowo było tak, iż po opłaceniu kosztów utrzymania i wyżywienia wypłacano nam minimalne sumy w rublach jako resztę należności za pracę. W mojej książeczce roboczej w pierwszym obrachunku wykazano, natomiast, deficyt w wysokości 20 rubli. Później w ogóle zaniechano wypłat).

Podczas mityngu Kononow gromkim głosem wzywał nas do podjęcia pracy. Bo jeśli nie, to oni już sobie z nami poradzą! Pójdziemy na wychowanie — „na białe niedźwiedzie”!

Po tych przemówieniach ogłoszono dyskusję. Posypały się wówczas pytania typu: „Kiedy pojedziemy do domu, bo słyszeliśmy, że Związek Sowiecki wysyła już z innych obozów do okupowanej przez Niemców Polski!” Mówiono też o zabranii ziem polskich przez Sowietów. „Da wy wojewali s nami!” — padła odpowiedź. Na nasze ządania powrotu do domu major odparł spokojnie, że owszem, pojedziemy, jak się wojna skończy.

Wynik mityngu był żaden. Ani na jotę się nie polepszyło i ludzie w dalszym ciągu bojkotowali pracę. Co się działo dalej, pisałem poprzednio.

Prawdopodobnie już wtedy komendantura powzięła decyzję co do dalszego losu.

**Obóz jeńców wojennych,
Zaporoże — 22 maja 1940.**

Dziś od wczesnego rana odbywa się rewizja osobista i rewizja całego naszego dobytku. Zrewidowani nie wracają już z komendantury do baraków. Wywoływani grupami ustawiają się ze swymi „wieszcami” i przypuszczają się wraz z nimi na zewnątrz obozu. W czasie rewizji odebrano mi jedną maszynkę do golenia. Innym pozabierano srebrne papierosnice itp. przedmioty.

Któryś z kucharzy przyniósł wiadomość, że odbywa się już ładowanie do wagonów towarowych stojących na bocznicy fabrycznej.

Jest godzina 13 w południe, kiedy opuszczam budynek komendantury w drodze ku wagonom.

Gdzie nas teraz powiozą?

Po głowie tłucze się wspomnienie słów Kononowa o zrycie na tereny, gdzie żyją białe niedźwiedzie. I jego dodatkowa informacja: „Żyć tam budiesz; da jebat” — nie zachoczasz!”

(Koniec odcinka 7. — cda.)

Podał do druku i opracował:
Miroslaw Derecki

JAKA POLSKA, JAKA WŁADZA? (10) SAMOLOTY WYLĄDOWAŁY W MOSKWIE PASAŻEROWIE NA ŁUBIANIE

Janusz Wrona

SILY polityczne reprezentowane przez Stronnictwo Ludowe „Roch”, Polską Partię Socjalistyczną „WRN” i Zjednoczenie Demokratyczne przyjęły w marcu 1945 r. wspólne stanowisko w sprawie uregulowania sytuacji wewnętrznej kraju w związku z obradami i uchwałami konferencji jałtańskiej. Wymienione partie uznawały za obowiązującą konstytucję kwietniową, „która jest wyrazem ciągłości istnienia Państwa, legalizmu jego władz”. Podkreślano jednak, że ta ustawa zasadnicza „nie odpowiada woli Narodu Polskiego i poglądom na ustrój Państwa polskiej demokracji, winna więc być zmieniona przez pierwszy Sejm wybrany w wolnych wyborach, opartych o demokratyczną ordynację wyborczą”.

Utrzymując w mocy zobowiązania prezydenta RP z 1940 r., dotyczące niewykorzystywania prerogatyw wynikających z konstytucji, proponowano zawarcie nowego układu „gwarantującego demokratyczne metody rządzenia Państwem przez Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej”. Ludowcy, socjaliści i demokraci postulowali ustąpienie prezydenta Władysława Raczkiewicza: „Prezydentem RP winien być człowiek mogący być dla większości narodu symbolem niezależności Państwa Polskiego i jego demokratycznych form rozwoju (Stanisław Wojciechowski, Wincenty Witos, Lucjan Żeligowski)”. Komentując sens tego postulatu, Jakub Berman w depeszy do Stalina stwierdził, iż chodzi o to, by „nie uznać Bieruta jako prezydenta”.

Wymienione ugrupowania polityczne domagały się także reorganizacji Rządu RP w Londynie, by mógł dawać „gwarancję niezależności w prowadzeniu polityki polskiej i odpowiadać woli demokratycznej większości Narodu Polskiego i jego dążeniom do przebudowy życia społeczno-gospodarczego Państwa”. Oceniając działający w kraju Rząd Tymczasowy, stwierdzono, iż nie posiada on prawa do sprawowania władzy w Polsce: „Rząd ten, powołany z woli Rosji Sowieckiej, nie reprezentuje interesów Narodu Polskiego, opiera się na jednym stronnictwie politycznym, które usiłuje dla zbałamutenia opinii Narodu występować pod pozostawieniem szylde stronnictwa demokratycznych w Polsce. Wykorzystując dezorientację na skutek kilkuletniej konspiracji, Rząd ten pełni faktycznie władzę, stosując totalistyczne metody rządzenia i nie dopuszczając do głosu rzeczywistej opinii kraju”.

Zmianę tej sytuacji widziano w powołaniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej zgodnie z uchwałami konferencji krymskiej. Sens owej propozycji określił Berman we wspomnianym telegramie do Stalina następująco: podziemna PPS, ludowcy i Zjednoczenie Demokratyczne chcą „dopuszczyć rząd lubelski do nowego rządu tylko jako przedstawicieli PPR”.

Oczekiwania wymienionych ugrupowań w stosunku do nowego rządu dotyczyły zapewnienia Polsce pełnej suwerenności, „zwłaszcza niezależności od Rosji, mającej swoje garnizony wojskowe w kraju”. Proponowano wprowadzić na teren Polski wojskowe przedstawicielstwo aliantów zachodnich, „które by dawały gwarancję swobodnego rządzenia i zabezpieczenie wolności wyborów”. Nowy rząd miał przeprowadzić istotne reformy społeczno-gospodarcze, naprawiające „błędy popełnione w tej dziedzinie przez Rząd Lubelski”. TRJN miały także stworzyć jednolite Wojsko Polskie. W cytowanym telegramie Berman tak oto skomentował tę kwestię: „Trzonem nowej armii polskiej ma być AK, obejmująca poszczególne ugrupowania [...]. Andersowców i armię stworzoną z ZSRR”.

Stojąc na stanowisku pluralizmu życia politycznego w Polsce, socjaliści, ludowcy i demokraci proponowali utworzenie Obozu Demokracji Polskiej, skupiającego partie wyznające zasady demokratyczne. Miało to — z jednej strony — stworzyć w przyszłym systemie politycznym Polski przeciwwa-

gę dla tendencji konserwatywno-zachowawczych i faszystowskich, z drugiej zaś — umożliwić przeciwstawienie się „zakusom totalistycznym PPR”.

W zasadniczej sprawie kształtu terytorialnego państwa i jego granic na wschodzie — ludowcy, socjaliści i demokraci poparli warunkowo rozstrzygnięcia jałtańskie („robimy to pod przymusem”), akceptując stalinowską wersję linii Curzona.

Konferencja krymska powołała Komisję Trzech, złożoną z Władysława Mołotowa, Archibalda Clark-Kerra i Awerella Harrimana, która miała ułatwić osiągnięcie porozumienia w sprawie nowego rządu w Polsce. Jego bazą — jak wspomniano w poprzednim odcinku — miał być działający w kraju Rząd Tymczasowy, którego pozycję Stalin starał się więc konsekwentnie wzmocnić. „Nie zdolałszy w Jałcie przeprowadzić uznania Rządu Tymczasowego w obecnym lub nieistotnie zmienionym kształcie, Stalin zamierzał zrealizować ten cel w sposób pośredni — pisał Krystyna Kersten („Polska — próbie porozumień jałtańskich”). — Działal przy tym dwiema drogami. Do Mołotowa należało blokowanie prac Komisji Trzech w Moskwie, do gen. Sierowa i NKWD usunięcie przywódców Polski Podziemnej — partnerów realnego kompromisu — z politycznej sceny”.

W końcu lutego 1945 r. Delegat Rządu RP w Londynie Jan St. Jankowski, Komendant Sił Zbrojnych na Kraj gen. Leopold Okulicki, ministrowie: Adam Bień, Antoni Pajdak, Stanisław Jasiukiewicz, przewodniczący RJN Kazimierz Pużak oraz przywódcy podziemnych stronnictw politycznych: Stronnictwa Ludowego — Kazimierz Bągiński i Stanisław Mierza, Stronnictwa Narodowego — Zbigniew Stypulski i Kazimierz Kobylański, Stronnictwa Pracy — Józef Chaciński i Franciszek Urbański, Stronnictwa Demokratycznego — Eugeniusz Czarnecki i Stanisław Michałowski otrzymali zaproszenie na konferencję z generałem „Iwanowem”, pod którym to nazwiskiem występował generał I. Sierow. Jako cel spotkania podano omówienie sprawy wyjścia wymienionych osób z konspiracji. Wspólnie z tłumaczem Józefem Stemlerem Dębskim przywódcy Polski Podziemnej 27 i 28 marca udali się w dwóch grupach do Pruszkowa, skąd samolotami miało ich przewieźć do Radomia na rozmowy z władzami radzieckimi. Tymczasem samoloty wylądowały w Moskwie, zaś polscy pasażerowie w więzieniu na Łubianie.

W czerwcu 1945 r. odbył się ich proces. „Oskarżano nas — wspominał A. Bień, ostatni żyjący z aresztowanej 16-tki — mówiąc najogólniej o cztery zbrodnie w rozumieniu sowieckiego prawa: wrogi stosunek do ZSRR, traktowanie obecności wojsk ZSRR w Polsce jako okupacji, utworzenie tajnej organizacji niepodległościowej „Nie” do przyszłej walki z okupantem oraz o działalność terrorystyczną na zapleczu Armii Czerwonej. Oczywiście oskarżenia w niejednakowym stopniu dotyczyły stojących przed sądem” („Odrodzenie” 1988, nr 40).

Zapytany po latach przez dziennikarzystę A. Bień, czy on i jego towarzysze wierzyli, że odbędą się rozmowy, zakończone powodzeniem, odpowiadał: „Nie. Wynikało to z naszych obowiązków. Gdybyśmy nie pojechali, daliśmy im argument, że nie chcemy rozmawiać. — Więc była to ofiara na ołtarzu historii? — zapytano. — Popełniliśmy być może głupstwo, że pojechaliśmy w szesnastu. Wystarczyłoby gdyby pojechało trzech najważniejszych: Okulicki, Jankowski i Pużak. Ale jeśli byłoby ich tylko trzech, co by ten fakt zmienił?” („Nowa Wieś”, 1989, nr 9).

Aresztowanie szesnastu przywódców Polski Podziemnej zaskoczyło kierownictwo Polskiej Partii Robotniczej. „Sama decyzja kolidowała z naszymi planami, i poczynaniami w kierunku pogłębienia procesu różniczkowania wśród ludowców, socjalistów i demo-

kratów — wspominał Berman. — [...] W związku z tym przygotowałem projekt sztyfrogramu do kierownictwa radzieckiego, który sygnalizował ujemne skutki tego posunięcia: »Dotarli do nas poufne wiadomości, że Jankowski i inni, z którymi prowadził rozmowy tow. Iwanow, znikli, po czym odbyły się rozmowy podziemnych ludowców, narodowych demokratów oraz tzw. Demokratycznego Zjednoczenia, na których postanowiono, że jeżeli w dniach najbliższych zniknie Jankowski się nie wyjaśni, to poczynią szeroką akcję w kraju i za granicą. AK zarzuca Delegaturze lekkomyślność i sądzi, że fakt ten należy wykorzystać w tym celu, aby rozproszyć wszelkie tendencje do kompromisu i w ten sposób stworzyć podstawy do nowej konspiracji. W związku z tym oczekujemy od Was wskazań celem odpowiedniego przygotowania partii«.”

O powrót aresztowanych do Polski upominał się u Stalina Gomulka, o czym pisze A. Werblan w książce przedstawiającej sylwetkę sekretarza generalnego PPR. Próby takie podejmował także Stanisław Mikołajczyk podczas konferencji moskiewskiej w czerwcu 1945 r., do której doszło po trzech miesiącach rozmów i przetargów w gronie wielkich mocarstw. Jej celem było wyłonienie Rządu Jedności Narodowej.

O podjętych działaniach na rzecz uwolnienia Mikołajczyk pisał we wspomnieniach następująco: „W ostatnim dniu naszego pobytu w Moskwie usiłowałem skłonić Bieruta i Osóbkę-Morawskiego do spotkania ze Stalinem w celu zmuszenia go do uwolnienia zarówno tych przywódców podziemia, którzy otrzymali już wyroki, jak i tych, którzy dopiero mieli być sądzeni. Obaj odmówili. »To mogłoby rozniewać Stalina — powiedział Bierut. — A poza tym ci ludzie nie są nam w Polsce potrzebni, przynajmniej na razie«.” Według Mikołajczyka — Mołotow uniemożliwił mu spotkanie ze Stalinem dla omówienia tej sprawy: „Jest on zbyt zajęty, by pana przyjąć, lecz dopilnuje, by zapoznał się z pańskimi problemami”.

Nawiązując do zawartego w Moskwie porozumienia, Stanisław Mikołajczyk przekonywał Mołotowa: „Czy nie rozumie pan, jak silny efekt — z punktu widzenia psychologicznego — mogłoby wywołać przybycie wraz z nami przywódców ruchu podziemnego, uwolnionych z myślą o dalszym zacieśnieniu przyjaźni między Polską i Rosją?” Rozstaliśmy się i miałem jednak nadzieję. Odchodząc, myślałem, iż nie mogło istnieć większe poniżenie niż to, jakiego doznaliśmy: nasi współtowarzysze przebywali w więzieniu, podczas gdy my ustalaliśmy warunki układu” (St. Mikołajczyk, „Zniewolenie Polski”, Warszawa 1984, s. 101).

Rozmowy, które doprowadziły do podpisania porozumienia w Moskwie, miały charakter dramatyczny. Znamy je dzięki opublikowanym w 1984 r. protokołom z poszczególnych spotkań. Już pierwsze plenarne posiedzenie przedstawicieli Rządu Tymczasowego RP i wszystkich konsultantów z kraju i zagranicy, odbyte 16 czerwca 1945 r., wykazało, gdzie zaistnieją różnice zdań i kontrowersje. Zawarł je Mikołajczyk w stwierdzeniu, że „chciałby wiedzieć: 1) Gdzie będzie źródło władzy; 2) Jakie stronnictwa w skład Rządu winny wchodzić; 3) Jak wygląda kwestia programowa; 4) Jaki będzie czas trwania Rządu — kiedy odbędą się wybory, wolność zgromadzeń, prasy itp.; 5) Sprawa powrotu wojska i emigracji [...]”.

Z odpowiedzi Bieruta i Osóbkę-Morawskiego wynikało, że źródłem władzy jest KRN, nowy rząd oprze się na dotychczas legalnie działających partiach, do których wejdą grupy ludowców i socjalistów pozostających w konspiracji. Wykluczono udział w rządzie endecji. Programem działania miał być Manifest PKWN. Wybory zamierzano przeprowadzić jak najszybciej: „Jako warunek stawiamy powrót Polaków z zagranicy do kraju”. Według Bieruta, powinno wrócić do kraju

również Wojsko Polskie, przy czym: „wielu osób, które wysuwają koncepcje antysowieckie, nie wpuszczamy”. Osóbkę-Morawski rozwinął ten problem szerzej: „Propaganda zaszczepiła w armii emigracyjnej wiele nienawiści do Związku Radzieckiego i władz polskich w kraju. Byłoby naiwnością myśleć, że Anders wejdzie zorganizowany ze swoją armią do Polski. W interesie dobrych stosunków Polski ze Związkiem Radzieckim oraz aby w Polsce nie było zamieszek — musimy mieć możliwość skontrolowania elementu powracającego do Polski i usunąć faszystów, których wpuścić do kraju nie możemy”.

Zaprezentowana platforma porozumienia narodowego była nie do przyjęcia dla Stanisława Mikołajczyka. Niepokoił go fakt dominacji komunistów w poszczególnych strukturach władzy (KRN, rząd, prezydent). Uważał, że nie jest to zgodne z uchwałami konferencji krymskiej i zapewnieniami Brytyjczyków w kwestii przewidywanych ram porozumienia. Rozmowom zagroził impas. Wówczas to z ostrą krytyką postawy Mikołajczyka wystąpił Gomulka. Uznał zajęte przez niego stanowisko „jako niepolityczne. Polacy uzgodnili między sobą konieczność porozumienia się bez nacisku czy nawet udziału czynników zewnętrznych, chociażby nawet dla nas sojuszników. Wymaga tego nasza godność narodowa. Musimy przestać być przedmiotem przetargów. O tym, jaki będzie rząd w Polsce, nie może decydować ani p. Eden, ani p. Churchill, lecz sami Polacy”. Czyżby internacjonalizm „Wiesława” sprawił, iż nie uznał on za stosowne wymienić Stalina jako czynnika współdecydującego o losach Polski?

Gomulka odniósł się także do poprzednich nieudanych prób porozumienia z Rządem RP w Londynie i Mikołajczykiem, którego obarczył odpowiedzialnością za zaistniały stan rzeczy. Konsekwencją miało być obniżenie rangi i pozycji politycznej byłego premiera. Gomulka stwierdził: „Myśmy Polskę budowali i pracujemy po 18 godzin na dobę i nie możemy traktować Rządu Tymczasowego i p. Mikołajczyka jako jakieś dwie równorzędne strony. My tylko ofiarujemy demokratom emigracyjnym miejsce w naszym domu i przez to podkreślamy, że jeszcze dzisiaj nie zeszliśmy z linii zmierzającej do porozumienia. [...] Nie obrażajcie się panowie, że my wam tylko ofiarujemy miejsca w Rządzie takie, jakie my sami uznajemy za możliwe. Myśmy bowiem gospodarze. Wy zaś możecie się stać współgospodarzami Polski, jeśli zrozumiecie wasze błędy i pojdziecie po drodze, którą idzie Rząd Tymczasowy. Porozumienia chcemy z całego serca, lecz nie myślcie, że jest to warunek naszego istnienia. Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy. Nie dlatego, aby ktokolwiek z nas pragnął tego dla siebie, tej władzy. Każdy z wielką chęcią pozbyłby się osobiście tego ciężaru, który na nim spoczywa w tym najcięższym okresie gospodarczym, w jakim znajduje się Polska. Władzy nie oddamy dlatego, aby narodu polskiego nie spotkała nowa zguba, która mu grozi w wypadku fałszywej linii politycznej, którą próbuje narodowi narzucić reakcja. [...] Zniszczymy wszystkich bandytów reakcyjnych bez skrupułów. Możecie jeszcze krzyknąć, że leje się krew narodu polskiego, że NKWD rządzi Polską, lecz to nie zawróci nas z drogi. Macie do wyboru — albo porozumienie i wspólna praca nad odbudową Polski, albo rozejdziemy się na zawsze”.

21 czerwca 1945 r., po pięciu dniach trudnych rozmów w Moskwie, ukazał się komunikat o zawarciu porozumienia w sprawie utworzenia Rządu Jedności Narodowej. Miał on uznać uznanie wszystkich wielkich mocarstw i stanowić widomy znak stabilizacji sytuacji wewnętrznej w Polsce. Kwestia, czy RJN posiadał warunki wewnętrzne i zewnętrzne, by spełnić nadzieje i oczekiwania społeczeństwa polskiego, stanowił kolejny temat, który warto rozważyć i poddać refleksji historycznej.

Dr Janusz Wrona jest adiunktem w Zakładzie Historii Najnowszej Instytutu Historii UMCS. Specjalizuje się w historii PRL.

Na tym kończymy publikację cyklu. Jesteśmy zainteresowani opiniami Czytelników.

(Red.)

NARESZCIE!

ZBIURA przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie otrzymaliśmy informację o trwających tam pracach nad przygotowaniem projektu uchwały, której celem jest rozliczenie niechlebnych praktyk niektórych byłych prominentów. Twórcy projektu przewidują „przeświecenie”, w sensie finansowym, większości znaczących w Lublinie i województwie osób, które w okresie sprawowania swych eksponowanych funkcji dorobiły się dóbr niemożliwych do osiągnięcia drogą legalną: z pensji, emerytur dla zasłużonych, nagród specjalnych, odznaczeń „chlebowych” razem wziętych.

Zanim przejdziemy do omówienia głównych tez projektu, zatrzymajmy się przy preambule tej propozycji. Jest ona bowiem wycelowana w przyszłość, z myślą o tych, którzy dopiero objęli lub objąć mają mniej lub bardziej lukratywne funkcje. Otóż w myśl projektu, osoby te będą musiały składać w izbach skarbowych coś w rodzaju deklaracji finansowo-materiałnej. Deklaracja obejmie także dziedziny, jak stan kont bankowych (w tym głównie dewizowych), posiadane mieszkania, dachy, działki budowlane i rekreacyjne, a także samochody, zagłówki, motorówki itp. Deklarując stan posiadania przed objęciem funkcji albo na początku jej pełnienia, respondent uzyska pewną (bo niepełną) gwarancję, iż wyszczególnione dobra nie będą w przyszłości stanowiąc przedmiotu dochodzeń finansowych przeciwko niemu. W obydwu natomiast przypadkach, to znaczy w odniesieniu do prominentów obecnych, jak też przyszłych, nie będą stanowić okoliczności łagodzącej tłumaczenia, że dobra te pozyskali w rezultacie cichego współudziału w firmach polonijnych, niekiedy nawet kilku, pod nazwiskami teściów i innych fikcyjnie podstawionych osób. Zapis ten obejmuje także wszelkie modne butiki, firmy perfumeryjne itp.

Tego rodzaju deklaracja finansowa, składana w chwili obejmowania funkcji czy wysokiego urzędu, jest czymś powszechnie praktykowanym na Zachodzie, choć dotyczy tam głównie bardzo eksponowanych figur, jak prezydenci państw, senatorzy, gubernatorzy, stanów, kwatermistrzowie armii itd. W polskich warunkach, gdzie można wzbogacić się na byle prezesurze (z wyłączeniem niektórych, jak np. prezesi związków twórczych, prezesi towarzystw miłośników miast, kanarków czy kaktusów), listę zagrożonych nadużyciami funkcji należy poszerzyć niewspółmiernie do wzorców zachodnich.

Wróćmy jednak do głównych założeń projektu uchwały. Czołowe w niej

miejsce zajmie lista wyjątkowo kryminogennych funkcji i tzw. „fuch” nomenklaturowych, zagrożonych pokusami. Jest ona bardzo długa. Aż roi się w niej od tytułów w rodzaju: przewodniczący, dyrektor, główny księgowy itp. W zalewie demokracji nie mogło tu również zabraknąć wojewódów, prezydentów, sekretarzy i całej grupy ludzi błyskotliwego awansu. Tym bardziej nie sposób wymienić tych mniej ważnych czy „dołów” funkcyjnych, w rodzaju kierowników hurtowni, prezesów gminnych spółdzielni, magazynierów, a nawet sezonowych kierowników punktów skupu buraków, tytoniu, ziół. Bogatym materiałem badawczym staną się funkcje naczelników gmin, a w warunkach lubelskich — dyrektorzy szkół oraz wytwórnie i rozlewnie trunków!...

Duże trudności sprawiało tworzenie systemu rozliczania, zwłaszcza ustalenie kryteriów dozwolonego statusu materialnego, którego przekroczenie stanie się podstawą do wszczęcia postępowania finansowego. Przyjęto jako dolną granicę rewindykacji finansowej pobranie w trybie jednorazowej opłaty 30-procentowej wartości posiadanych dóbr. Niektórzy członkowie zespołu projektowego postulowali przyjęcie nawet 50-procentowej opłaty.

Prominenci, zwani w projekcie uchwały osobami fizycznymi, będą musieli słono zapłacić za szczególnie ostentacyjne, wyzywające bogactwo. A więc posiadacze willi, dachy, drogich samochodów i wszystkiego, co się rzuca w oczy przeciętnych obywateli jako zaprzeczenie życia w ustroju równości społecznej... Nie ujdą uwadze bardziej wyrachowane sposoby bogacenia się i osiągania krociowych dochodów. Zostanie na przykład przesiedzona lista przydziałów miejskich działek budowlanych z mocą wsteczną do 1970 roku. Ilu wówczas prominentów znajdzie się na liście dwu- lub trzykrotnych przydziałowców? Mechanizm działania jest tu od dawna znany inspektorom NIK oraz komisjom kontroli partyjnej: buduje się na przydzielonej działce dom w stanie surowym i sprzedaje z dziesięciokrotnym zyskiem zwiększonym przez wartość uzbrojonej działki. Przeszłość wreszcie uwzględniane jako okoliczności łagodzące przetrzone darywizny, zasiedzenia i tym podobne kruczki prawne.

Jednocześnie będą prowadzone inspekcje w willach i mieszkaniach. Wdzięcznym polem kontroli stanie się tam wszystko, co wchodzi w pojęcie infrastruktury mieszkalnej, jak wyposażenie kuchenne-sanitariatowe, meble oraz takie kaprysy, jak boazerie buko-

we z parków narodowych lub parków krajobrazowych, pozyskane pod pretekstem cięć sanitarnych, a dalej kosztowne fanaberie w rodzaju marmurowych parapetów, peweksowskich terakot i okładzin często nabywanych „z przeceny”, sauny, kominki, elektronicznie rozsuwane drzwi na wzór hotelu „Forum”, aluminiowe hermetyczne otwory okienne, produkowane wyłącznie na wyposażenie obiektów państwowych, skomplikowane systemy alarmowe, sejfy.

Końcowym etapem tych spacerów będą garaże. Po pierwsze — jak je otrzymali lub na jakim placu zbudowali, a jeśli to okaże się w porządku, to za co kupili tę ładę lub poloneza. Ile razy otrzymał talonów „mierny, ale wierny” dożywotni nomenklaturowiec, za ile sprzedawał swe poprzednie samochody, bo już kroili się następne przydziały, ile wynosił każdorazowy tzw. czysty zysk po sprzedaży starego i odebraniu nowego pojazdu?

Przed wyjściem z mieszkania o powierzchni M-15, powstającego z połączenia dwóch lub trzech innych już w trakcie budowy bloku, warto zapytać, gdzie i na jakim areale mieszkają dzieci, teściowie i kochane mamidła.

Po wyjściu z willi i zacerpnięciu powietrza warto jeszcze rzucić okiem na całość. No właśnie: czy pokrycie dachu musi być z blachy miedzianej? I po co? Czy właściciel zamierza żyć 1200 lat, jak przedchrześcijańscy Żydzi? A może to wszystko w trosce o to, aby jego dzieci i wnuki nie splamiły się pracą, w całym swoim życiu nie zaznały nawet troski o wymianę dachu? Dlaczego choć drobnej części tej zapobiegliwości nie skierował pro publico bono?

Projektodawcy uchwały starają się tu iść jedynie z duchem czasu. Wszyscy widzimy aż nadto dokładnie, co wyszło z mrzonek. Jedni zmieniają samochody co kilka lat, a innych nie stać na zmianę psa, bo i jak, skoro rodowodowy szczeniak kosztuje dwie pensje lekarza z drugim stopniem specjalizacji! Dlatego mój znajomy, wybitny znawca doktryn społecznych i politycznych, już od 15 lat ciągnie za sobą zramolatego, parszywego kundla i nie usypia go pod pretekstem przywiązania! Inny mój przyjaciel, który po skończeniu studiów nierozważnie pozostał na uniwersytecie jako chłuba lubelskiej polonistyki, po dwudziestu latach, już jako profesor, paraduje w tym samym paletku, w którym pobiegł na obronę swej pracy magisterskiej.

Pozostaje jeszcze arcydelikatna sprawa kontroli nad kontrolującymi. Kto ma ją zapewnić, jakie mechanizmy, jakie instytucjonalne tamy mają powstrzymać kontrolujących przed podobnymi zwyrodnieniami? Tego komisja projektowa niestety nie zdołała sprecyzować i to jest główna i jedyna słabość owego projektu.

Hen Spider

INFORMATOR KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy:

1.04—2.04, 4.04—5.04 godz. 19: „Mandali” Nikolaja Erdmana; reż. Andrzej Rozhin.

5.04 godz. 16 (scena „Reduta”): „Poobiednie igraszki” Romy Mahieu.

Teatr Lalki i Aktora:

30.03—31.03 — występy gościnne w Rykach i Tarnobrzegu: „Don Zan” anonim czeski; reż. Tomasz Jaworski.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

30.03 godz. 11.30, 14 (Dom Socjalny „Biaława”): spektakl pt. „Lis detektyw prowadzi śledztwo” w wykonaniu aktorów z Teatru „Guliwer” z Warszawy.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filharmonia:

31.03 godz. 19 — koncert Trii Perkusyjnego Państwowej Filharmonii Lubelskiej. Wystąpią: Józef Maruszak, Włodzimierz Sypniewski, Andrzej Zawisza oraz ich goście: Maria Świeca (skrzypce), Lech Szost (flet), Corelli Świeca (fortepian). W programie: utwory Alana Hovhannesa, Siegfrieda Finka, Willema de Vriesa Robbe, Williama Rusella, Scotta Joplina, Elżbiety Sikory, Zbigniewa A. Zajęca.

3.04 godz. 19 — koncert (współorganizowany przez Towarzystwo Śpiewacze „Echo”) Chóru Ludowego Naučycieli z Brześcia. Kierownik artystyczny i dyrygent chóru: Anna Pieczonkina, kierownik — Michail Kapłan, koncertmistrz — Tatjana Nuzdina, soliści — Ludmiła Kurakiewicz i Aleksander Żukow. W programie: S. Rachmaninow, rosyjskie i hiszpańskie pieśni ludowe.

4.04 godz. 19 — koncert Orkiestry Kameralnej Sinfonia Varsovia. Orkiestra dyryguje Emmanuel Krivine (Francja). Solista — Augustine Dumay (skrzypce).

Lubelski Dom Kultury (ul. Pstrowskiego 12): 4.04 godz. 18 — koncert muzyczny kwartetu „Jorgi”.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum na Zamku — wystawa archeologiczna pt. „Najważniejsze odkrycia archeologiczne w Polsce środkowo-wschodniej 1988”.

Muzeum Wsi Lubelskiej (gościnne w siedzibie „Desy” Krak. Przedm. 58) — wystawa przedmiotów z okresu II Rzeczypospolitej pt. „Coraz krótsza pamięć”.

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa grafiki Mirosława Piotrowskiego pt. „Akwafora z akwatintą”.

BWA (ul. Narutowicza 4) — wystawa malarstwa Jacka Wojciechowskiego (czynna do 6.04).

Galeria Sztuki Sceny Plastycznej (KUL) — wystawa prac Aliny Szapocznikow.

Galeria „Labirynt 2” (ul. Grodzka 3): 31.03 godz. 18 — otwarcie wystawy Andrzeja Dłużniewskiego pt. „Zaczepy”.

WDK (sala lustrzana) — poplenerowa wystawa fotograficzna pt. „Borki '88” (czynna do 5.04).

Filharmonia (foyer) — wystawa malarstwa Zygmunta Bobolowicza.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Muzeum Okręgowe: 2.04 godz. 11 — otwarcie pokonkursowej wystawy pt. „Sztuka ludowa południowego Podlasia '89”.

Galeria Sztuki Współczesnej: 4.04 godz. 17 — otwarcie wystawy malarstwa Marka Rypina i Mirosława Gro-mady.

W MIĘDZYRZECU PODLASKIM

Galeria „Es” — wystawa fotografii Andrzeja Michałowskiego.

SPOTKANIA

Zarząd Główny Stowarzyszenia Twórców Ludowych w Lublinie zaprasza na Ogólnopolskie Spotkania Poetyckie, które odbędą się w dniach 31.03—1.04. 1989 r. w Krajowym Domu Twórczości Ludowej w Lublinie, ul. Grodzka 14. Początek imprezy 31.03 godz. 10.30.

OGŁOSZENIE

EKSPRESOWA instalacja anten. Poczta (pawilon 6).

6445/G-3

Z KSIĘGARNI

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

„U złotego źródła”, wybór Stefani Wortman, ilustracje Zbigniewa Rychlickiego, Nasza Księgarnia, 1500 zł. Baśnie polskie.

Maria Konopnicka: „Utwory dla dzieci”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 610 zł.

Stanisław R. Brzostkiewicz: „W kręgu astronomii”, Nasza Księgarnia, 1500 zł.

Dorożka Wójcik-Zurko, Barbara Adameczewska: „Nastolatki zarządzają swój kącik”, PWE, 400 zł.

KLASYKA

„Psalterz”, Instytut Prasy i Wydawnictw Novum, 1450 zł. Autorem przekładu jest Roman Brandstaetter, zaś wstępu Thomas Merton.

PROZA

Karol Dickens: „Magazyn osobliwości”, Czytelnik, 1400 zł. Wznowienie.

Joseph Conrad: „Korsarz”, Wyd. Glob, 800 zł. Wydanie ósme.

Karol Olgierd Borchardt: „Szaman morski”, Wydawnictwo Morskie, 690 zł. Wznowienie.

Anatolij Rybakow: „Dzieci Arbatu”, Iskry, 1500 zł. Powieść napisana przed ponad 20 laty, ukazująca Związek Radziecki w latach 1933—34, będąca najgłośniejszym — jak dotąd — dziełem literackim okresu radzieckiej „pieriestrojki”. (Nakład wyczerpany).

BIOGRAFIE

Roman Wapiński: „Roman Dmowski”, Wydawnictwo Lubelskie, 2000 zł. (Dodruk).

Marguerite Yourcenar: „Pamiętniki Hadriana”, PIW, 700 zł. Biografia rzymskiego cesarza, której autorka nadała formę pamiętników pisanych jakoby w przeddzień śmierci Hadriana.

Michael Talbot: „Vivaldi”, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, 700 zł. Praca poświęcona znakomitemu kompozytorowi i zarazem świetnemu skrzypkowi.

FELIETON

Daniel Passent: „Nie denerwujcie się, obywatelu”, Iskry, 550 zł.

DOKUMENT

Jadwiga Sosnkowska, Włodzimierz Kowalski: „W kręgu mitów i rzeczywistości”, PA Interpress, 1600 zł. Zapis rozmowy poświęconej wydarzeniom z okresu II Rzeczypospolitej oraz II wojny światowej.

Cezary Chlebowski: „Reportaż z tamtych dni”, KAW, 1800 zł. Wznowienie bogato udokumentowanej relacji o podziemnym państwie polskim w okresie ostatniej wojny.

Tadeusz Sawicki: „Front wschodni a powstanie warszawskie”, PWN, 800 zł.

Józef Marszałek: „Majdanek”, Interpress, 600 zł.

Zbigniew Flakowski: „Od morza koralowego po Midway”, 300 zł. II wojna na morzu.

LITERATURA NAUKOWA I POPULARNONAUKOWA

Romano Guardini: „Kościół Pana”, IW PAX, 480 zł. Praca nt. istoty i zadań Kościoła.

Seyyed Hossein Nasr: „Idee i wartości islamu”, IW PAX, 500 zł.

Tomasz Langer: „Stany w USA. Instytucje — praktyka — doktryna”, PWN, 700 zł.

T. Przemysław Szafer: „Współczesna architektura polska”, Arkady, 8800 zł.

SŁOWNIKI, PORADNIKI

Władysław Kopaliński: „Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych”, Wiedza Powszechna, 2900 zł.

W. A. Bolotnikowa, L. M. Wapielnik: „500 potraw z ziemniaków”, PWRiW, 350 zł.

(Niniejszy „raport” sporządzony został w księgarni nr 1 „Domu Książki” w Lublinie).

Z.

TV

CZWARTEK
30 MARCA
PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta: Spróbuj... potrafisz!
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Osmiornica” (3) — wł. serial sensacyjny
10.30 Domator: To się może przydać
16.00 Program dnia i DT — wiadomości
16.05 Polskie źródło: Krynica — reportaż
16.25 Dla młodych widzów: Kwint i film z serii „Edisonowie”
17.15 Teleexpress
17.30 Kalejdoskop — wojsk. magazyn publicystyczny
17.55 „Opowieści Puszczy Augustowskiej” — film dok. Krystiana Przysieckiego
18.20 Sonda: Kwaśny deszcz
18.50 Dobranoc: Pająk Chwat, wszystkich brat
19.00 10 minut
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 DT
20.05 „Osmiornica” (3) — wł. serial sensacyjny
21.10 Socjalizm tak, ale jak? — spotkanie z prof. Marianem Orzechowskim
21.40 Pegaz — magazyn aktualności kulturalnych
22.30 Prezydenci: Rutheford B. Hayes
23.00 DT — echa dnia
23.15 Jutro w programie
23.20—23.50 Język francuski (22)

PROGRAM II

17.30 Do szkoły pod górę
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102”
19.00 „Strachy na lachy” (1) — serial animowany prod. angielskiej
19.30 Kino „Puls”
20.00 „Dziwięciu gniewnych” — program z udziałem krytyków filmowych
20.45 Bez ograniczeń — filmowy portret Bronisława Schlabsa
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino studyjne Dwójki: „Jeden drugiego brzemia noście” — film fab. prod. NRD
23.35 Dobranoc dla dorosłych: „Listy heter”
23.40—23.45 Komentarz dnia

PIĄTEK
31 MARCA
PROGRAM I

8.35 Domator: Kuchnie świata
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 DT — dodatek gospodarczy
9.40 „Szukając wyjścia” — film fab. prod. węgier.
15.50 Program dnia i DT — wiadomości
15.55 Intersygnal — magazyn krajów sojalistycznych
16.25 Dla młodych widzów: Rambit — teleturniej
16.50 Dla dzieci: „Okienko Pankracego”
17.15 Teleexpress
17.30 Czy likwidować kartki na mięso? — program public.
18.10 Skarbiec — magazyn historyczny
18.50 Dobranoc: Sąsiedzi

19.00 10 minut
19.10 Monitor rządowy
19.30 DT
20.15 Kino muzyczne Lucjana Kydryńskiego: „Gdy kwitną bzy” — musical prod. USA
22.15 Czas — magazyn publicystyczny
22.45 Jutro w programie
22.50 DT — echa dnia
23.05—0.20 Ludzie przeciw sobie (2): „Wojna domowa w Hiszpanii” — serial dok. prod. francuskiej

PROGRAM II

16.55 Język angielski (51)
17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedzwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Ludzie, o których się mówi
18.50 Polska Kronika Filmowa
19.00 „W labiryncie” (13): „Operacja Shirokara” — serial TP
19.30 Dookoła świata: „W Dolinie Indusu”
20.00 Magazyn „Piątek”
21.30 Panorama dnia
21.45 „Doktor Mirosław Vitali, lekarz humanista” — reportaż Barbary Folty
22.15 „Bezbronne nagietki” — film fab. prod. USA
23.50—23.55 Komentarz dnia

SOBOTA
1 KWIETNIA
PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży oraz film z serii „Fraggle”
10.30 DT — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze — magazyn muzyczny
11.25 „Pozostała pamięć” — wojskowy film dok.
12.00 Wędrowki dalekie i bliskie: „Rzeka — ludojad” — ang. film. dok.
13.00 Telewizyjny Teatr Prozy: Joseph Conrad — „Spiskowcy”.
Reż. Zygmunt Hubner. Wyk.: Jerzy Zelnik, Krzysztof Pieczyński, Joanna Żółkowska, Aniela Swiderska, Gustaw Lutkiewicz, Ewa Dalkowska, Franciszek Pieczka i inni.
14.55 Małe Towarzystwo — reportaż o Towarzystwie Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej
15.25 Program dnia
15.30 Komedia, komedia, komedia... — „Dzięcioł”
17.05 Losowanie Dużego Lotka
17.15 Teleexpress
17.30 Premie i premiery — edycja druga
18.30 Butik — magazyn Grażyny Szczepiak
19.00 Dobranoc: Jeż Kleofas
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Poczta ZOO
19.30 DT
20.05 Sobotni seans filmowy: „Powrót człowieka zwanego koniem” — western prod. USA
22.05 Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzielorz
22.15 Telewizyjny przegląd sportowy
22.35 San Remo (2) — program rozrywkowy
23.25 DT — wiadomości
23.30 Jutro w programie
23.35—0.20 Kino sensacji: „Mściciele” — odc. 1 pt. „Pomszczona niewinność” — film prod. japońskiej

PROGRAM II

14.55 Powitanie
15.00 „Tajniki przyrody” (3): „Żyjąca woda” — serial dok. prod. ang.
15.25 Spektrum — program

popularnonaukowy
15.40 Meandry architektury: Coraz wyżej
16.00 Globalna wioska
16.15 Spotkanie z Maciejem Ilowieckim
16.25 „Jak to działa” — film dokumentalny
17.00 Program rozrywkowy
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska

18.30 W kręgu kina: Marilyn Monroe — poza legendą
19.30 Alfa i omega: Smiechoterapia dla każdego
20.00 „Ten koncert bardzo się podobał” — Maciej Niesiołowski prowadzi Orkiestrę Symfoniczną Akademii Muzycznej w Warszawie
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio sport: Jeździecki Puchar Świata w skokach przez przeszkody
22.10 „Raj odłożony na później” (10): „Zdrada” — serial obycz. prod. ang.
23.00 Komentarz dnia
23.05—23.35 „W labiryncie” — serial TP (powt.)

NIEDZIELA
2 KWIETNIA
PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek oraz film z serii „Szwajcarscy Robinsorowie”
10.30 DT — wiadomości
10.35 „Wspólnota Facyfik” (5): „Pięćdziesiąt sposobów oświecenia” — film dok. prod. angielskiej
11.35 Kraj za miastem
12.05 Telewizyjny koncert życzeń
12.50 Powiększenie — foto-magazyn
13.10 Marek Sierocki zaprasza
13.30 Teatr Młodego Widza: John Ronald Reuel Tolkien — „Pogromca smoków” (1)
14.10 Program dnia
14.20 „Pośród królów... ostatni” — widowisko artystyczno-muzyczne
15.20 „Morze”
15.40 „Katarzyna” — odc. 1 filmu prod. franc.
17.15 Teleexpress
17.30 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty
18.00 Magdalena Abakanowicz — reportaż
18.40 Antena
19.00 Wieczorynka: Smurfy
19.30 DT
20.05 „Rzeka kłamstwa” — film TP
21.30 Sportowa niedziela
22.30 Raport — 7 dni
22.40 „Władysław Siewiński” — reportaż z wystawy w Muzeum Narodowym w Warszawie
23.00 „Awit Szubert — fotograf” — film dok. Stefana Szlachetcy
23.15 DT — wiadomości
23.20 Jutro w programie

PROGRAM II

8.50 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
9.25 Film dla niesłyszących: „Rzeka kłamstwa” — serial TP
10.50 Magazyn lotniczy
11.20 Lokalny koncert życzeń
11.45 Jutro poniedziałek — magazyn spraw codziennych
12.15 Powitanie
12.20 Kino rodzinne: „Dom” — odc. pt. „Piotr i Michał” — serial prod. CSRS
13.20 100 pytań do...
14.00 Polacy: „Być przy tym” (2) — film dok. Jarosława Kamińskiego
14.45 Podróż w czasie i przestrzeni: „Powiązania” (7): „Długi łańcuch” — film dok. prod. ang.
15.35 Roman Lasocki przedstawia — Bartłomiej Nizioł
16.15 Być tutaj — gawęda

prof. Wiktora Zina
16.30 Kino Oko — kalejdoskop filmowy
17.15 Aktualności kulturalne: „Kawaler srebrnej róży” — reportaż z przedstawienia w Teatrze Wielkim w Łodzi opery Ryszarda Straussa
17.30 Blżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 Chłopski generał i jego żołnierze — reportaż Arkadiusza Pilarza
19.30 Galeria Dwójki: Daniel de Tramecourt
20.00 Studio sport: Piłka w grze
21.00 Recital Aleksandra Mroźka
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wichry wojny” (3) — film prod. USA
22.35 Komentarz dnia
22.40—22.45 Dobranoc dla dorosłych: „Listy heter”

PONIEDZIAŁEK

3 KWIETNIA

PROGRAM I

16.00 Program dnia
16.05 Program publicystyczny
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Echa stadionów
18.30 Laboratorium: Scalak
18.50 Dobranoc: Placek ze śliwkami
19.00 10 minut
19.10 Gorące linie
19.30 DT
20.05 Teatr Telewizji: Sławomir Mrożek — „Kontrakt”
Reż. Kazimierz Dejmek. Opracowanie telewizyjne: Jan Englert. Wyk.: Zdzisław Mrożewski, Jan Englert
21.35 Spory — magazyn publicystyczny
22.05 Gwiazdy jazzu — Michał Urbaniak (cz. 1)
22.45 DT — echa dnia
23.05 Język niemiecki (21)

PROGRAM II

16.55 Język niemiecki (21)
17.25 Program dnia
17.30 Antena Dwójki na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna-polszczyzna: Pieśni wielkanocne
18.00 Program lokalny
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.10 Teletrans
19.30 Życie muzyczne: „Dni muzyki kompozytorów krakowskich” — reportaż
20.00 Spotkanie z Kalinką — teleturniej
20.40 „Uwaga, dokument” — „Cannes to Cannes”, reż. Piotr Włodarski
21.45 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Emil Zola, czyli ludzkie sumienie” (1) — serial dok. prod. franc.
22.45 Komentarz dnia

WTOREK

4 KWIETNIA

PROGRAM I

8.35 Domator: Rady na życie. Chcę schudnąć dla zdrowia i urody
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 DT — reforma gospodarcza
9.40 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (1) — serial obyczajowy TV CSRS
10.40 Domator: Rady na życie
16.00 Program dnia. DT — wiadomości
16.05 „Wspólna Polska — wspólne sprawy”
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.50 Kino Tik-Taka: „Cudowna podróż” (27) — serial animowany prod. austriack.
17.15 Teleexpress
17.30 „Adwokat z Old Bailey” (4): „Łokieć sędziego” — serial krym. prod. ang.

18.30 Klinika Zdrowego Człowieka
18.50 Dobranoc: Sniegowe skrzaty
19.00 10 minut
19.10 Od a do z — „k” jak kieszeń: program publicystyczny
19.30 DT
20.05 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (1): „Wędrowiec” — serial obycz. prod. CSRS
21.05 Czy stop dla cen i plac? — program publicystyczny
21.35 Debiut i co dalej? — Mieczysław Szczepiak — recital piosenkarski
22.05 Program publicystyczny
22.45 DT — echa dnia
23.05 Język angielski (22)

PROGRAM II

16.55 Język angielski (22)
17.25 Program dnia
17.30 „Węgierska gorąca wiosna” (1) — reportaż
18.00 Program dnia
18.30 „Apartheid” (4 — ostatni): „Przystosuj się, albo umrzyj” 1978—1986 — serial dok. prod. ang.
19.30 Studio Sport
20.00 Non stop kolor: Dire Straits i Eric Clapton — koncert z okazji siedemdziesiątych urodzin Nelsona Mandeli
21.00 „Węgierska gorąca wiosna” (2) — reportaż
21.30 Panorama dnia
21.45 „Dorastanie” (6): „1977—1979” — serial TP
22.45 Komentarz dnia

ŚRODA

5 KWIETNIA

PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta; Szkoła dla rodziców: Lęki dziecka
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Równanie z trzema niewiadomymi” (2) — film fab. prod. ZSRR
10.30 Domator: Przyjemne z pożytecznym
15.50 Program dnia. DT — wiadomości
15.55 Losowanie Express i Super Lotka
16.05 Bariery
16.25 Scena TDC
16.50 Cojak? — teleturniej dla dzieci
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
18.00 Telewizyjny informator wydawniczy
18.20 Dawniej niż wczoraj: „Archiwum XX wieku”
18.50 Dobranoc: Pląsusiowy pamiętnik
19.00 10 minut
19.10 Sejmowe spotkania
19.30 DT
20.00 Studio Sport: Półfinał Europejskiego Pucharu Polski w piłce nożnej
21.50 Raport
22.20 Fleks cz. 1 — program o balecie, tańcu dyskotekowym i towarzyskim
22.50 DT — echa dnia
23.10 Język rosyjski (23)

PROGRAM II

16.55 Język rosyjski (23)
17.25 Program dnia
17.30 Magazyn „102”
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Ze wszystkich stron
19.00 II Rzeczpospolita nieznana — Lublin
19.45 Opolskie konfrontacje teatralne — reportaż
20.00 Mistrzowie wiolinistyk: Roman Lasocki
20.55 „Kuba — Ernesto Che Guevara” — reportaż
21.30 Panorama dnia
21.45 „07 zgłoś się” (14): „Strzał na dancingu” — serial TP
23.10 Telewizja noca
23.55 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.

ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231. WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.

DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71. Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe. Nr indeksu: 37409. Zam. 439, 17.03.89 r. B-4

POKŁOSIE KONKURSU RED. PAWLUCZUKA MOCNY PIENIĄDZ, PEŁNE PÓŁKI?

Leszek Wiśniewski

W NUMERZE 8/89 naszego tygodnika kolega Andrzej Pawluczek opublikował drugą część swojego manifestu „Zabrać biednym, aby dać bogatym”. Wprawdzie podoba mi się idea anty-Janosiłkowskiej ekonomii, nie podobają mi się natomiast niektóre jej elementy składowe.

Po pierwsze, przez cały felieton Andrzeja W. Pawluczuka przewija się przewrotna teza, iż pieniądź, dobry pieniądź, stanowi o silnej gospodarce. „Bez dobrego pieniądza nie ma dobrej gospodarki i rynku” — pisze Pawluczek. Prawdą jest to wtedy tylko, gdy postawimy barana nogami do dołu, a rogami ku górze: bez dobrej gospodarki i normalnego rynku, nie ma silnego pieniądza.

Klasyycznym przykładem odwrócenia relacji: przyczyna — skutek jest argumentacja mojego adwersarza. Otóż po przeprowadzeniu reformy premiera Władysława Grabskiego w 1924 roku (chwala ci za to, profesorze) Polska uzyskała jedną z „najtwardszych” walut europejskich, o kursie ustalonym na poziomie franka szwajcarskiego, czyli ok. 5,80 złotych za dolara. Czy oznaczało to, że siła ekonomiczna polskiej gospodarki była porównywalna ze szwajcarską, a czterokrotnie przewyższała potencjał francuski (1 złp = 4 fr. francuskie)? Przecież, oczywiście, nie! Polska posiadała wówczas istotnie silną, szybko zresztą ustabilizowaną walutę, przy ewidentnym niedorozwoju ekonomicznym i nędzy. Te zjawiska oraz brak zrównoważenia budżetu, przy parlamentarnej obstrukcji wobec zmian systemowych, proponowanych przez Grabskiego, stały się jedną z głównych przyczyn upadku gabinetu i usunięcia się premiera z życia politycznego. A więc — jasno i wprost — jego porażki politycznej!

Silna waluta nie przyczyniła się zatem do zbudowania silnej gospodarki. Uczyniła jedynie normalnymi stosunki wymiany i rynku kapitałowego. Co do tego się z A. W. Pawluczukiem zga-

dzamy. Podzielał pogląd, że normalny pieniądź jest warunkiem koniecznym dla dobrej gospodarki. Ale nie jest warunkiem dostatecznym, jak mawiają matematycy.

Paradoksalne, ale właśnie silna waluta stała się przyczyną dotkliwych strat skarbu państwa w okresie wielkiego kryzysu ekonomicznego. W latach 1930—1935 utrzymywano przez długi czas pełną wymienialność złotego na waluty obce, chcąc wzbudzić u zagranicznych inwestorów zaufanie do inwestycji w Polsce. Kapitały nie napływały jednak, lecz uciekały, a Bank Polski przeznaczył w ciągu pięciu lat na interwencję gieldową, dla podtrzymania kursu złotego, półtora miliarda złotych (sic!).

Dodajmy, trawestując Pawluczuka, że stabilizacja waluty w Polsce nie została zrobiona wyłącznie własnymi, polskimi siłami. Otrzymaliśmy tzw. pożyczkę dillonowską w wysokości 12,5 mln. dolarów, później również „pożyczkę tytoniową” z Włoch i stabilizacyjną szwajcarską.

Sytuacja II Rzeczypospolitej i Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (trzeciej?) jest diametralnie różna. Dzisiaj zwykłą mitologią jest myślenie, że możemy się odbić od dna o własnych siłach. Nie możemy! Bez wsparcia kapitału zachodniego nigdy nie uda nam się wypłatać z sieci, jaką zastawili na nas podobno wredni bankierzy. Nie ludźmy się co do maszyn możliwości, przywołajmy pamięć Grabskich, Kwiatkowskich i Druckich-Lubeckich.

Tzw. rewolucja, którą skutecznie przeprowadzono w Polsce, miała ten skutek, że nie tyle zlikwidowała „dobry pieniądź”, ile po prostu skasowała stosunki towarowo-pieniężne, wprowadzając, zamiast tradycyjnych kategorii ekonomicznych, myślenie według zasad „ekonomii ulicy”. Sprowadza się ono do równania: mocny pieniądź = pełne półki. Reszta nieważna. Słusznie, tylko kto to robi, towarzyszu sekretarzu? — jak powiedział je-

den znajomy, wytypowany do „załatwienia, wiecie, tego Kowalskiego”.

Wzrusza mnie A. W. Pawluczek, gdy zapewnia, że mocny pieniądź załatwi nam wszelkie problemy. Bo czy to, że za libijskiego dinara można otrzynąć 3,37, a za jemeńskiego 2,84 dolara, świadczy o wyższości ekonomii arabskiej nad amerykańską? Chyba w tym samym stopniu co wyższość świąt Bożego Narodzenia nad świętami Wielkiejnocy. Sądzę wręcz przeciwnie, że przy — jak dotąd — marnym pieniądzu też możemy gospodarkę reformować. Pod warunkiem, że złoty polski powiązany będzie z pieniądzem światowym, czyli dolarem mówiąc wprost. Odciecie od światowego rynku pieniężnego ma ten skutek, że naszej galopującej inflacji — potaniającej i promującej eksport — nie możemy nijak zdyskontować. Bo złotówka w Warszawie i w Paryżu — to dwie różne złotówki.

Nie wiadomo, czy statki budowane w Gdyni lub Szczecinie (w Gdańsku przecież, nie) opłaca się sprzedawać do Japonii, ZSRR bądź też może do republiki Hula Gula. No bo jak ustalić rzeczywistą relację złotego do rubla, jena i kolorowych paciorków? Jak przeliczyć dolara na rubla transferowego? Złoty dewizowych na złotego aluminiowego? A jak porównać miesięczny zarobek studenta politechniki, odbywającego praktykę wakacyjną w charakterze pomywacza w zachodnioberlińskiej kuchni, do rocznego uposażenia inżyniera-konstruktorza z trzydziestoletnią praktyką? Do czego zmierzam? Do wniosku, że nie ważne: słaby czy mocny, byle normalny pieniądź. A wcześniej, najpierw normalna gospodarka, potem normalny pieniądź. Odwrotnie — zabieram zabawki i idę do Pewexu.

Teraz — co do nagród. Na pytanie A. W. Pawluczuka: kto zniszczył dobrą polską, narodową (chyba Dmowskim „leciś”, Andrzej) walutę, odpowiadam: ONO, koteozku ONO, jak na moim miejscu odrzekłby Pietrzak do wtóru z Kisielim. I w tym momencie sam ogłaszam konkurs. Kto zreperuje dobrą narodową polską gospodarkę? No — który? Spośród tych, którzy nadesłali jedynie słuszne odpowiedzi, rozlosuję nagrodę w postaci przedwojennych 10 złotych polskich (srebrnych!) z wizerunkiem Józefa Piłsudskiego. Warte zresztą jednego Pawluczukowego dolara.

I tak wróciłem do relacji wymiany sprzed pięćdziesięciu lat...

KTO JEST KIM W REGIONIE

BARCZYŃSKA Jadwiga. Lat 39. Córka Agnieszka, Kierownik Działu Sztuki Muzeum Okręgowego w Chelmie. Współkierowniczką (z Bożeną Kowalską z Warszawy) „Galerii 72”. Absolwentka Wydziału Historii Sztuki KUL (1973). Pracowała krótko w Pracowni Konserwacji Zabytków w Lublinie. Urodzona w Świdnicy, pod znakiem Raka.

Dzień, w którym czegoś nie zrobi, czegoś z siebie nie da, uważa za stracony. Sądzi, iż człowiek dojrzewa do pracy wraz z wiekiem, choć niektórzy wcześniej się wypalają. Obok wykonywanego zawodu ma jeszcze inne pasje. Uczy młodzież angielskiego, prowadzi kursy wiedzy artystycznej, organizuje pogadanki o sztuce dla więźniów zakładów karnych.

ROZHIN Andrzej. Lat 49. Żonaty. Żona Izabella, magister inżynier ekonomiki ogrodnictwa. Trzy córki: Klara, Aleksandra (uczenica szkoły muzycznej), Klaudyna (studentka Wydziału Biologii UMCS). Aktor, filolog polski, reżyser. Dyrektor Państwowego Teatru im. J. Osterwy. Założyciel i szef słynnej studenckiej grupy awangardowej „Gong 2”. Dyrektor teatrów w Gorzowie Wielkopolskim, Olsztynie, Koszalinie, Szczecinie. Reżyseruje stale w teatrach warszawskich: Teatrze na Woli, Ateneum, Teatrze Kwadrat, Narodowym. Od niedawna Przewodniczący Komisji Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Uważa, że wypowiedzi w podobnych rubrykach ze względu na ich charakter muszą brzmieć banalnie. Wierzy jednak w nieustanną pracę, doskonalenie samego siebie oraz poszukiwanie relaksu (rodzina, hobby).

SIENKIEWICZ Jan Wiktor. Lat 29. Żonaty. Żona Teresa. Rzecznik prasowy Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Studiował prawo, potem historię sztuki na KUL. Po ukończeniu studiów pracował w Muzeum Uniwersyteckim. Obecna funkcja pełni od 1 marca 1989.

Za najważniejsze w życiu uważa siłę tkwiącą w małżeństwie, w dwojgu ludziach. Sądzi, iż zawsze liczy się także osobista odwaga, puparta głęboka wiara.

SŁOBODA Barbara. Lat 37. Meżatka. Mąż Krzysztof. Dwóch synów (Bartek i Maciek). Porucznik MO. Pracownik Milicyjnej Izby Dziecka RUSW. Absolwentka Wydziału Prawa na Uniwersytecie Wrocławskim (1975). Od 1978 roku w Lublinie. Odznaczona Medalem Ludziom Gorących Serc. Lublinianka Roku 1985.

Hierarchię życiowych wartości widzi w relacji praca — dom. Zawodowo i emocjonalnie angażuje się w pomoc małym dzieciom, dotkniętym tragedią obojętności i porzucenia.

HISTORIA DLA MALUCZKICH

Zbigniew Dzieciółek

CORAZ dokładniej jesteśmy informowani o przeszłości. Różne grona, ciała, rady, komisje i Bóg wie co jeszcze wyteżają swoje umysły, aby obwieścić maluczkim, że np. „dziadek” Piłsudski nie był wcale taki „be”, a Kwiatkowski czy Grabski to byli nawet „cacy”. Dawni bohaterowie — przodownicy pracy socjalistycznej odchodzą do lamusa, a ich miejsce zajmują różne „łańcuchowe psy kapitalizmu” i „zapłute karły reakcji”. Święte słowo — socjalizm ulega ostatnimi czasy desakralizacji, a „przeklęty” kapitalizm okazuje się być nie taki czarny, jak go powszechnie malowano (St. Stomma twierdzi wręcz, że „czeka nas ciemna droga powrotu do kapitalizmu”). Toż to szok, jak mawiał cieć Popiołek. Słowem: pełna metamorfoza. No, może nie taka pełna. Tu i ówdzie zdarzają się wyjątki. Ot choćby taki passus:

„Życie robotników przed stu laty było bardzo trudne. Za ciężką pracę w fabrykach, trwającą od rana do nocy, otrzymywali niewiele pieniędzy, o wiele mniej niż powinni. Przemęczonych pracą i chorych wyrzucano z fabryki, a na ich miejsce przyjmowano innych. Robotnicy, aby zmusić fabrykantów do podwyżki płac i polepszenia warunków pracy, strajkowali, czyli przerywali pracę. Przy pomocy wojska i policji fabrykanci zmuszali ro-

botników do posłuszeństwa. W obrocie robotników występowali socjaliści. Tłumaczyli oni, że winę za nędzę robotnika ponosi nie tylko fabrykant, ale wszyscy bogacze, czyli kapitaliści żyjący z pracy innych. Socjaliści nawoływali robotników do obalenia władzy kapitalistów i przejęcia ich fabryk na własność narodu. W państwie rządzone przez robotników nie będzie wyzyskiwaczy. [...] socjalizm wprowadzi sprawiedliwość i usunie nędzę”.

Nie byłoby w tym nic dziwnego — nie takie rzeczy wpisywała nasza prasa — gdyby nie fakt, że powyższy fragment pochodzi z aktualnie obowiązującego podręcznika historii dla klasy czwartej szkoły podstawowej. Jeżeli autorzy tego curiosum mieli na dzieje, że smarkateria uwierzy we wszystko co pisane, to muszę, niestety, wyprowadzić ich z błędu. Może jedenastoletni dzieciak nie wie, jak nazywa się stolica, powiedzmy, Kataru, ale nikt mu nie wmówi, że kłocki „Lego” produkuje Spółdzielnia Rzemieślnicza w Cynowie Górny — to po pierwsze. Po drugie — dobrze będzie, jeżeli czwartoklasista dla świętego spokoju „wyklepie” na pamięć smutną historię braci robotniczej walczącej z kapitalistą-krwiopijcą i na następnej lekcji wyartykułuje ją bez zająknięcia. Gorzej, gdy jakiś niepoprawny smarkacz zacznie zadawać

pytania. Jak wtedy takiemu ciekawskiemu wytłumaczyć, że klasa robotnicza po utrwaleniu socjalizmu w Polsce wzniesła strajki przeciw samej sobie? Co powiedzieć Józiovi czy Marysi, których ojciec pojechał na Zachód zarabiać „prawdziwe pieniądze”? Jak zareagować na stwierdzenie małego, że z tej krainy mlekiem i miodem płynącej (czytaj: socjalizmu) tysiące ludzi pcha się dobrowolnie do kapitalistów? A już zupełnie nie wiem, w jaki sposób przekonać te dzieciaki, że opisane w podręczniku wydarzenia miały miejsce ponad sto lat temu?

Szczerze więc współczuję nauczycielowi, który będzie próbował odpowiedzieć na te „dziecinne pytania”. Mam bowiem niejasne przecucie, że biedaczyna po takiej lekcji będzie wymagał natychmiastowej hospitalizacji, jeżeli wcześniej nie trafi go na miejscu szlag, lub nie zaleje inna nagła...

O tym co jak nazwać, czym socjalizm w Polsce jest, a czym być powinien (jeżeli być powinien), dyskutować można długo. Jednak absurdalna plajta ponad czterdziestoletnich dokonania kolejnych ekip rządzących w PRL widoczna jest gołym okiem. Toteż opowiadanie dzieciom podobnych historyjek, w które i tak nie wierzą, uważam za grube nieporozumienie. Może by tak urzędnicy z Ministerstwa Edukacji Narodowej, zamiast preparować widły, widełki i inne narzędzia rolnicze, pomyśleli nad zmianą treści nauczania?

Parafrazujać Mickiewicza — chciałbym dożyć tej pociechy, kiedy ta książka zniknie spod strzechy (szkolnej).

W NUMERZE 12. OPUBLIKUJEMY:

● BIERUT — MAŻ STANU, AGENT CZY WYKONAWCA? ● ROZMOWA Z RYSZARDEM REICHM, PREZESEM ZWIĄZKU SYBIRAKÓW ● TO DOBRZE, ŻE W POLSCE SĄ JESZCZE „WARIACI” ● DON KICHOT Z FIRLEJA ● NASZ DOM — EUROPA ● WYZNANIA WIECZORNE OB. G. C. ● STU „ŁAGIERNIKÓW” Z LUBLINA ● „MEJKPISKI” Z UL. POŁNOCNEJ ● FELIETONY ● TYGODNIOWY PROGRAM TV